



WIELKA ORKIESTRA NIE ZWALNIA TEMPA

Gdy wczoraj rano rozpoczął się 31. finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, na koncercie było już zebranych 37 mln zł. – Ci, którzy grają: chapeau bas, kłaniam się nisko. Ci, którzy nie, niech nie przeszkadzają. Dajemy radę – tymi słowami rozpoczął relację z kolorowego studia w Warszawie Jurek Owsiak. Pieniądzy przybywało z każdą minutą, po godz. 20 było niespełna 100 mln zł ► 3

DUŻY FORMAT



CO TO JEST DOBRA MĘSKOŚĆ

Grzegorz Szymanik pyta Piotra Sikorę, komika z Teatru Klancyk

Afera w Serie A

Juve płacił pod stołem?

Juventus, ukarany odjęciem 15 punktów, stracił szansę na awans do Ligi Mistrzów. Ten kataklizm sportowy i finansowy jest efektem księgowych machinacji ► 15

Wydaje Agora SA, nr indeksu 348198



„Wyborcza” ujawnia:

Obajtek, ABW i agentka w Orleniu

Daniel Obajtek był zarejestrowany jako współpracownik ABW – twierdzą nasi informatorzy. Jego oficerem prowadzącym była Beata Z., skazana za defraudację funduszy Agencji. Dziś pracuje w Orleniu

Wojciech Czuchnowski, Jarosław Sidorowicz

Zdaniem naszych rozmówców współpraca z Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego może być powodem tego, że do dziś Obajtek nie otrzymał poświadczenia o dostępie do informacji tajnych. Wydaje je właśnie ABW.

W odpowiedzi na pytania „Wyborczej”, wysłane do Obajtka za pośrednictwem biura prasowego Orlenu, nie otrzymaliśmy zaprzeczenia, że współpracował z tajnymi służbami.

Dotarliśmy też do akt sprawy sądowej dotyczącej pani chorąży Beaty Z.

Obajtek i ABW

Pierwszą informację o nieznanym epizodzie z przeszłości prezesa Orlenu otrzymaliśmy w grudniu 2022 r. Było tuż po publikacji „Wyborczej” o tym, że przy sprzedaży przez plocki koncern udziałów

w Lotosie-Rafinerii Gdańskiej saudyjskiemu Saudi Aramco i węgierskiemu MOL celowo pominięto etap konsultacji ze służbami specjalnymi, w tym ABW.

Dzięki temu Daniel Obajtek mógł brać udział w negocjacjach, mimo że nie ma dostępu do tajnych materiałów wytwarzanych przez cywilny i wojskowy kontrwywiad i wywiad, jednostek mających za zadanie czuwanie nad bezpieczeństwem tak strategicznej dla Polski transakcji.

Nasz informator – były oficer ABW – powiedział nam, że „w latach 2009-14 Daniel Obajtek był zarejestrowany jako konsultant lub osobowe źródło informacji (OZI) Delegatury ABW w Krakowie”.

Na listę informatorów wciągnęła go Beata Z., funkcjonariuszka departamentu A zajmującego się ochroną interesów ekonomicznych państwa. Mieszkała ona w Myślenicach i znała Obajtka prywatnie.



• Daniel Obajtek miał być zarejestrowany w ABW w latach 2009-14

Według naszego rozmówcy ówczesny wójt Pcimia (w powiecie myślenickim) został przez Beatę Z. określony jako cenny informator w sprawach mafii paliwowej. Delegatura w Krakowie zajmowała się ważnym wątkiem – przekrętami w Rafinerii Trzebinia. Obajtek, w przeszłości kierownik w prowadzonej przez jego krewnych spółce Elektro-Plast produkującej m.in.

rury PVC, znalazł się na komponentach używanych przez mafię do nielegalnego mieszania paliw.

Z ABW do Orlenu

Współpraca wójta Pcimia z tajnymi służbami w czasach, gdy rządziła koalicja PO-PSL, miała zakończyć się skandalem. Nasz informator: – Na jedno ze spotkań z tym źródłem [czyli Obajtkiem] poszedł kpt. Marcin P. Oceniał, że przekazywane informacje są bezwartościowe, a na dodatek Beata Z. jest dobrą znajomą Obajtka. Była z tego afery i Beata Z. miała duże nieprzyjemności. Została w służbie tylko dlatego, że wstawił się za nią jej naczelnik.

Nie na długo. W 2017 r. Beata Z. sama odeszła ze służby, ale szybko znalazła zatrudnienie w Orleniu, którego prezesem został właśnie Obajtek. Jest kierownikiem w jednej ze spółek córek koncernu, zajmuje się bezpieczeństwem infrastruktury.

I najważniejsze: w 2022 r. Beata Z. została prawomocnie skazana na rok więzienia w zawieszeniu na dwa lata za przekręty w wydawaniu funduszu operacyjnego, w trakcie pracy w ABW. Ma też naprawić szkodę wyrządzoną „mieniu skarbu państwa”, czyli wpłacić niecałe 10 tys. zł. ●

• Więcej ► 4-5

Współpraca Obajtka z tajnymi służbami w czasach, gdy rządziła koalicja PO-PSL, miała zakończyć się skandalem

Michał Kokot

Czerwona kartka dla populizmu w Czechach

Wygrana Petra Pavla w wyborach prezydenckich to triumf rozsądku nad populizmem. Czy w regionie uruchomi to efekt domina? Takiej wygranej Pavla nie zwiastował niemal żaden sondaż: były wojskowy generał pokonał Andreja Babisza stosunkiem 58 do 42 proc., zdobywając prawie milion głosów więcej od swojego konkurenta. Pavel zwyciężył w całych Czechach poza kilkoma regionami na północy i zachodzie, gdzie głosuje żelazny elektorat Babisza. A przecież – w odróżnieniu od niego – prowadził niemal wyłącznie kampanię pozytywną. Nie obrzucał przeciwnika błotem, nie szukał dziur w jego życiorysie, nie próbował zohydzić go w oczach Czechów.

– Mija się pan jak zwykle z rzeczywistością. Przywykłem do tego, jednak radzę zacząć mówić prawdę – odpowiadał krótko i ze stoickim spokojem Pavel, gdy Babisz zarzucał mu, że zamierza ręką w rękę z rządem doprowadzić do obniżki emerytur.

Autorytarne zmiany w Polsce i na Węgrzech są dla Czechów sygnałem alarmowym. Oba kraje są negatywnym przykładem tego, „czym Czesi nie chcą się stać”

polityk Benjamin Netanjahu, a po nim Viktor Orbán, który niepodzielnie rządził Węgrami od 2010 r. W Polsce skutecznie stosuje ją PiS. Ale Czesi, zmęczeni dziesięcioletnią kadencją Milosza Zemana, który w ostatnich latach nie robił nic innego, jak tylko dzielił opinię publiczną, postanowili powierzyć najwyższe stanowisko w państwie komuś, kto obiecał im spokój i „przywrócenie godności urzędu”. Paradoksalnie to Pavel, któremu w kampanii wręcz zarzucano reakcjonizm, bo nie chciał wchodzić w potyczki z Babiszem, potrafił z tej konfrontacji wyjść zwycięsko i zdominować kampanię swoim opanowaniem. Autorytarne zmiany, jakie zachodzą w Polsce i na Węgrzech, są dla Czechów sygnałem alarmowym. W dyskursie publicznym oba kraje są negatywnym przykładem tego, „czym Czesi nie chcą się stać”. Sobotnie wybory prezydenckie potwierdzają, że Czesi nie zamierzają wypadać z zachodniej strefy wpływów politycznych, której są częścią i decydem. To, czy pozostaną w niej w regionie osamotnieni, pokażą wybory na Słowacji, a po nich w Polsce. ●

La Paz, Boliwia Parada transwestytów



FOT. JUAN KARITA / AP

Przeszli w sobotę ulicami miasta podczas zorganizowanych przez społeczność LGBT wyborów transwestyty Cholita, czyli przebranego w tradycyjny kobiecy strój, na który składają się: spódnica – cholitas pollera, halka, szal i charakterystyczny kapelusz, który pierwotnie zaprojektowany był dla mężczyzn.

**Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz nie-
zwykłych galerii na Wyborcza.pl/
zdjęcia**

Liczba dnia

0106

SEKUNDY
Tak niewiele zabrakło amerykańskiej narciarce alpejskiej Mikaeli Shiffrin do wyrównania rekordu legendarnego Ingemara Stenmarka, który 86 razy wygrał zawody Pucharu Świata. Wczoraj w Szpindlerowym Młynie nieznacznie przegrała w slalomie. Przed nią jednak jeszcze kilka zawodów w tym sezonie.



– *Spodziewam się ze strony Kościoła przeprosin i mea culpa za wykluczenie kobiet z kapłaństwa i za stosunek do homoseksualistów. Zmiany będą tak dramatyczne jak kiedyś te dotyczące chrześcijańskiego antyjudajizmu czy kwestii niewolnictwa*

HANS JOAS

niemiecki badacz sekularyzacji i jej znaczenia dla osób wierzących, jeden z najwybitniejszych współczesnych socjologów

Andrzej rysuje



Michałowi Jamrożowi

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Taty

przyjaciele z "Gazety Wyborczej"



www.nekrologi.wyborcza.pl/34232251

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Mamy

naszej koleżanki

Moniki

wyrazy żalu i współczucia

Rodzinie i Bliskim

składa

Zarząd Nomios Poland, SOC24 i TukanIT
oraz koleżanki i koledzy z pracy



www.nekrologi.wyborcza.pl/34231865

Orkiestra znów zagrała

Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy zagrała wczoraj po raz 31., przez wszystkie lata zebrała 1,75 mld zł! W tym roku fundacja chce wyposażyć szpitale w urządzenia pozwalające na przyspieszenie diagnostyki sepsy u dzieci i dorosłych.

Anita Karwowska

W piątek, dwa dni przed kolejnym finałem, WOŚP miała już na koncie ponad 29 mln zł. – Moglibyśmy za to kupić na przykład 33 urządzenia do identyfikacji mikroorganizmów albo 37 zautomatyzowanych systemów posiewów mikrobiologicznych, albo 120 analizatorów do diagnostyki molekularnej czy chociażby 747 komór laminarnych – wyliczył prezes fundacji Jerzy Owsiak, poruszony hojnością Polaków w trudnych czasach.

Gdy wczoraj o godz. 8.30 rozpoczął się finał, zebrana kwota przekroczyła 37 mln zł. – Nasz polski duch, nasz uśmiech, nasza radość, której na co dzień czasem nam brakuje, teraz będzie z nami cały czas. Ci, którzy grają: chapeau bas, kłaniam się nisko. Ci, którzy nie, niech nie przeszkadzają. Dajemy radę – tymi słowami szef Orkiestry rozpoczął relację z kolorowego studia zbudowanego przez Pałacem Kultury i Nauki w Warszawie. Pieniądzy przybywało z każdą minutą, po godz. 20 było niespełna 100 mln zł.

Aparatura medyczna, o której wspominał Owsiak, stosowana jest w diagnostyce sepsy, a to temat przewodni tegorocznej zbiórki WOŚP. Fundacja zbiera pieniądze na zakup sprzętu, który pozwoli szybciej wykrywać zakażenia wśród dzieci i dorosłych. Bo w tym roku finał zorganizowany jest pacjentów z każdej grupy wiekowej.

Sepsa groźniejsza niż zawał serca

Orkiestra po raz pierwszy zbiera na ten cel. Zdecydowała się na to, by dać lekarzom skuteczniejsze narzędzia do walki z zakażeniami. Dla chorego, u które-



go wystąpiła sepsa, kluczowe do przycięcia jest jak najszybsze rozpoznanie i włączenie właściwego leczenia – najlepiej w ciągu pierwszej godziny.

Z badań wynika, że opóźnienie o godzinę rozpoznania sepsy i podania skutecznego antybiotyku zwiększa ryzyko zgonu o 8 proc. Jak przekazała fundacja, z danych Narodowego Funduszu Zdrowia analizowanych przez NIK wynika, że liczba dorosłych hospitalizowanych w Polsce z powodu sepsy wynosi ok. 20 tys. rocznie, ale w rzeczywistości na pewno jest ich więcej.

Wyniki badań punktowych, prowadzonych w akredytowanych oddziałach intensywnej terapii w latach 2012-13 wskazują, że liczba przypadków sepsy wynosiła co najmniej 50 tys. rocznie, a współczynnik umieralności był wyższy niż umieralność z powodu nowotworów układu oddechowego czy zawału serca.

W rozmowie ze „Wyborczą” znacznie tegorocznej zbiórki objasnił prof. Bohdan Maruszewski, kardiochirurg z Centrum Zdrowia Dziecka, współzałożyciel

• Orkiestrowe morsowanie w Częstochowie

FOT. GRZEGORZ SKOW-
RONEK / AGENCJA
WYBORCZA.PL

• 31. Finał WOŚP w Lublinie

FOT. JAKUB ORZE-
CHOWSKI / AGENCJA
WYBORCZA.PL

fundacji WOŚP: – W ciągu ostatnich lat na świecie pojawiły się kompletnie nowe technologie do rozpoznawania sepsy w ciągu zaledwie kilku godzin. Można nie tylko w tak krótkim czasie rozpoznać bakterię, ale też skorzystać z biblioteki kilku tysięcy bakterii rozpoznanych w laboratoriach na całym świecie. Druga grupa urządzeń opiera się na technologii rezonansu magnetycznego. Urządzeń, które ją wykorzystują, jest na świecie dopiero 200. A pozwalają one skrócić do trzech, czterech godzin czas od pobrania materiału do rozpoznania bakterii, która wywołała zakażenie, ale również tego, na jaki antybiotyk jest wrażliwa. Są też urządzenia korzystające z technologii molekularnej. To jest szansa na obniżenie umieralności i śmiertelności o kilkadziesiąt procent. My nie zlikwidujemy sepsy jako choroby, ale możemy w walce z nią być skuteczni. Jeżeli zbierzemy taką sumę pieniędzy jak rok temu, możemy ten problem rozwiązać w całym kraju.

Finał w telewizji i internecie

Trzeci rok z rzędu na finał wybrano ostatnią, a nie w pierwszą niedzielę stycznia. Główny sztab Orkiestry tradycyjnie mieścił się w Warszawie. Kolorowe studio telewizyjne pokazywane w TVN i w internecie zbudowano na pl. Defilad. Ale scena koncertowa, która zawsze towarzyszy finałowi, została umieszczona na pl. Bankowym.

Czerwone serca były widoczne na ulicach, przechodnie, którzy wrzucili pieniądze do puszek wolontariuszy, przyklejali je sobie na kurtkach, czapkach, torebkach. Również politycy, ale wyłącznie opozycyjni, pojawiający się wczoraj w programach publicystycznych w TVN 24 mieli przyklejone wośpowe serca.

Informacje o finale pominęła część mediów. Jak pisał Onet.pl, dziennikarze przejętych przez Orlen redakcji Polska Press otrzymali wytyczne, z których wynika, że mają pisać jak najmniej o trwającym właśnie finale Orkiestry. Za tą decyzją ma stać Dorota Kania.

Swoje imprezy organizowały sztaby w całym kraju i kilkudziesięciu krajach na świecie.

Zbiórce tradycyjnie towarzyszył zorganizowany w Warszawie 17. bieg „Policz

Ci, którzy grają: chapeau bas, kłaniam się nisko. Ci, którzy nie, niech nie przeszkadzają. Dajemy radę

JERZY OWSIAK
szef WOŚP

się z cukrzycą”. Każdy pakiet startowy to wkład w zakup pomp insulinowych dla kobiet w ciąży chorujących na cukrzycę. W latach 2014-22 Orkiestra kupiła dzięki temu 272 pompy.

Od pierwszego finału w 1993 r. WOŚP zebrała 1,75 mld zł, za co kupiła 70 tys. urządzeń dla szpitali. Każda zbiórka udawała się dzięki wolontariuszom. Dwa lata temu na laryngologię dziecięcą fundacja zebrała w finale ponad 210 mln zł, a w ubiegłym roku – na okulistykę dziecięcą – ponad 224 mln zł.

Do kwestowania zgłosiło się w tym roku ponad 100 tys. wolontariuszy, ale Orkiestra ma również coraz więcej form zbiorów cyfrowych: eSkarbonki, esemesy (o treści „SERCE” pod nr 75565), przelewy czy przekazywanie odpowiednich hashtagów na Twitterze.

Finał można też wspierać na aukcjach charytatywnych na Allegro, których liczba nieustająco rośnie, w niedzielne popołudnie było ich 155 tys. Wśród nich m.in.: pierwsze strony piątkowych wydań tygodników lokalnych „Wyborczej”, współprowadzenie „Milionerów” z Hubertem Urbańskim, obiad i spacer po Gdańsku z Donaldem Tuskiem, odkurzenie mieszkania przez Andrzeja Grabowskiego, rakietę Igi Świątek oraz narty Roberta Makłowicza. ●

wyborcza.pl

• Najświeższe wiadomości z WOŚP na Wyborcza.pl



„Wyborcza” ujawnia:

Obajtek, ABW i agentka z wyrokiem

Prezes Orlenu został przed laty zarejestrowany jako współpracownik ABW – twierdzą nasi informatorzy. Jego oficerem prowadzącym była Beata Z., która dziś pracuje w Orleniu i która została skazana za defraudację funduszu operacyjnego Agencji.

**Wojciech Czuchnowski
Jarosław Sidorowicz**

Przez kilka tygodni sprawdzaliśmy tę historię. W kilku źródłach – to głównie byli funkcjonariusze ABW z Krakowa oraz akta sądowe sprawy o defraudację funduszy Agencji.

Potwierdziliśmy, że Beata Z. pracowała w krakowskiej delegaturze od 2000 do 2018 r. I że służył tam też kpt. Marcin P., który zdecydował, że Daniel Obajtek jako źródło informacji nic nie wnosi.

„Lider wśród fanów” Obajtka

Beata Z. zaczynała jako pomoc w sekretariacie, a do służby rekomendował ją jej ówczesny mąż, też oficer, dziś poza ABW. Potem zaczęła awansować – została funkcjonariuszką mającą uprawnienia do werbunku do agentury.

Spytaliśmy ABW, czy Beata Z. nakłoniła ówczesnego wójta Pcimia do współpracy, ale oficjalnie żadna służba nie potwierdzi, że ktoś był jej agentem.

Nieoficjalnie nasi informatorzy wspominają, że „sprawa informatora Beaty Z. była głośna”. Jeden z nich mówi, że „Beata Z. nie powiedziała szefostwu, iż jest w bliskiej relacji z OZI”, drugi, że „wykryto nadużycia w funduszu operacyjnym” i że miało chodzić o 30 tys. zł.

To może znaczyć, że funkcjonariuszka świadomie brała pieniądze za informacje, które były bezwartościowe, pochodziły od fikcyjnego źródła, albo fałszowała podpisy w notatkach służbowych.

Były naczelnik wydziału, w którym pracowała Beata Z., jest dzisiaj ważnym dyrektorem w porcie lotniczym w Krakowie-Balicach (celowo go nie identyfikujemy). Pracę dostał w 2016 r., a samo lotnisko znajduje się w strefie wpływów byłej premier Beaty Szydło, politycznej promotorki Obajtka w PiS.

Przełożony Beaty Z. nie chciał rozmawiać o dawnej podwładnej. – Nie tylko ja byłem jej naczelnikiem – uci-

na, gdy do niego zadzwoniliśmy. Odmawia też podania aktualnego kontaktu do niej.

Byłego szefa Beaty Z. dopytujemy o jeszcze jedną rzecz: – Czy był pan przesłuchiwany w śledztwie dotyczącym Beaty Z. albo w postępowaniu wewnętrznym ABW w tej sprawie?

Były naczelnik: – Nie muszę o tym mówić. Nie odniosę się do tego pytania.

Potwierdziliśmy za to, że chorąży Beata Z. wniosek o odejście z ABW złożyła pod koniec 2017 r., a w lutym 2018 r., gdy prezesem Orlenu został Obajtek, dostała posadę w koncernie.

Najtrudniejsze było ustalenie, gdzie dokładnie jest zatrudniona. W końcu ustaliliśmy, że pracuje w spółce Orlen Ochrona jako kierownik działu bezpieczeństwa infrastruktury i spraw obronnych. Orlen Ochrona ma siedzibę w Płocku, ale biura kierownictwa są przy centrali koncernu w Warszawie.

Beata Z. jest aktywna w mediach społecznościowych, ale profil na Facebooku ma dostępny tylko dla wybranych znajomych. Nie udostępnia żadnych danych na swój temat, są tylko zdjęcia długowłosej kobiety na motocyklu.

Z kolei na facebookowym profilu Daniela Obajtka ma status „lidera wśród fanów”. To znaczy, że najczęściej lajkuje i udostępnia dalej jego wpisy.

Wyrok na agentkę

„Wyborcza” dotarła do akt procesu Beaty Z. Duża część z nich jest utajniona.



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Z dostępnych dokumentów wynika, że ABW po wykryciu defraudacji pieniędzy z funduszu operacyjnego sama zawiadomiła prokuraturę, ale stało się to dopiero w 2019 r.

Śledztwo nie było proste, bo prokuratura przez rok boksowała się z Agencją o przysłanie tajnych dokumentów dotyczących byłej chorąży. ABW zwlekała, tłumacząc się COVID-em i pracami remontowymi w biurze. Kilkakrotnie musieli do niej pisać prokurator okręgowy w Krakowie i jego zastępca, ponaglaając w sprawie przekazania dokumentów.

Beata Z. podczas pierwszego przesłuchania nie przyznała się. Poprosiła o adwokata, twierdząc, że obawia się, iż podczas zeznań ujawni tajemnice służbowe. Podczas drugiego przesłuchania (odbyło się w większości w kancelarii tajnej) zmieniła zdanie, a prokurator od razu zaproponował jej dobrowolne poddanie się karze: rok pozbawienia wolności w zawieszeniu na dwa lata, grzywna 5 tys. zł, pokrycie kosztów sądowych, naprawienie całej szkody oraz dwa lata zakazu zatrudnienia na stanowisku funkcjonariusza publiczne-

go związanego z gospodarowaniem finansami. Wreszcie zwrócenie szkody wyrządzonej skarbowi państwa – ma zapłacić 9915 zł. Tyle pieniędzy oficjalnie miała zdefraudować.

Beata Z. zgodziła się, wyrok Sądu Rejonowego dla Krakowa-Śródmieścia zapadł 31 marca 2022 r. i jest już prawomocny. Byłej funkcjonariuszce grozi teraz utrata mundurowej emerytury, jaką otrzymuje.

Sprawa defraudacji funduszu operacyjnego ABW rozstrzygana w sądzie to wyjątkowa rzadkość. Na ogół służby rozwiązują takie problemy wewnątrz swoich struktur.

Jak wynika z akt sprawy, Beata Z. odpowiadała z kilku artykułów kodeksu karnego: 231 par. 2, 284 par. 2, 270 i 271 par. 3.

Artykuł 231 to nadużycie władzy. W paragrafie 2 czytamy: „jeżeli sprawca dopuszcza się czynu w celu osiągnięcia korzyści majątkowej lub osobistej, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10”. Artykuły 284 i 270 to przywłaszczenie mienia oraz podrabianie i posługiwanie się fałszywymi dokumentami. Wyrok roku więzienia w za-

„Wyborcza” ujawnia:

wieszeniu znaczy, że Beata Z. dostała karę najniższą z możliwych.

Do jej zadań w ABW należało pozyskiwanie informacji, prowadzenie działań operacyjnych i sporządzanie z nich raportów. Od 2013 r. zyskała jeszcze jedno ważne uprawnienie: prowadzenie funduszu operacyjnego. To z niego funkcjonariusze opłacają informatorów oraz swoje wydatki podczas tajnych operacji.

Wkrótce Beata Z. zorientowała się, że może brać pieniądze z funduszu, twierdząc, że pokrywa w ten sposób wydatki związane z działaniami operacyjnymi. W rzeczywistości takich nie było.

Z ustaleń późniejszego śledztwa wynika, że Beata Z. zaczęła od drobnych sum: brała po 40-70 zł. Później kwoty rosły – 500, 700 aż po 1500 zł. Ostatni raz zrobiła to niedługo przed odejściem ze służby, między lipcem a grudniem 2017 r. Pod koniec 2017 r. roku złożyła wniosek o odejście z ABW. Oficjalnie – w związku z nabyciem praw emerytalnych. Trafiła do Orlenu, gdzie – jak podała – zarabia 15 tys. zł miesięcznie.

Już po jej odejściu na trop defraudacji wpadła wewnętrzna komisja Agencji, którą powołano do rozliczenia materiałów służbowych Beaty Z. I ustaliła, co później potwierdziła prokuratura, że choraży wykorzystywała już rozliczone raporty o wydatkach z funduszu złożone przez innych funkcjonariuszy. Zmieniała w nich numery i daty, wprowadzała nowe, zmieniała też adnotacje księgowe. Tak przerobione łączyła do raportów kasowych.

Krótką odpowiedź Orlenu

Za pośrednictwem biura prasowego Orlenu wysłaliśmy w czwartek pytania

Beata Z. odpowiadała przed sądem z kilku artykułów kodeksu karnego.

Artykuł 231 to nadużycie władzy dla osiągnięcia korzyści materialnych lub osobistych.

Artykuły 284 i 270 to przywłaszczenie mienia oraz podrabianie dokumentów i posługiwanie się nimi

dotyczące Beaty Z. i Daniela Obajtka. W przypadku prezesa koncernu zadaliśmy też pytania mecenasowi Maciejowi Zaborowskiemu, który reprezentuje Obajtka w wielu sprawach sądowych.

Pytania o Beatę Z.:

- od kiedy p. Beata Z. [w pytaniach podawaliśmy pełne nazwisko] pracuje w koncernie i jakie obejmuje stanowisko?
- czy spółka wie o wyroku karnym, który zapadł na Beatę Z. w marcu 2022 r.?
- czy zatrudniając Beatę Z. lub w czasie pełnienia przez nią obowiązków, Orlen wiedział o toczącym się przeciwko niej śledztwie?
- jaki jest obecny status p. Beaty Z. w Orlenie?
- czy Beata Z. ma ważny certyfikat dostępu do informacji niejawnych?

Pytania do prezesa Obajtka:

- czy zna pan Beatę Z.?
- czy jest to relacja rodzinna, czy towarzyska?

- czy pomagał jej pan zdobyć pracę w Orlenie?
- czy w przeszłości współpracował pan z Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego?
- czy współpraca ta odbywała się za pośrednictwem Beaty Z., funkcjonariuszki ABW?
- czy za informacje przekazywane ABW lub Beacie Z. otrzymywał pan gratyfikację pieniężną lub wynagrodzenie albo korzyści w innej formie?

Odpowiedź biura prasowego Orlenu przyszła szybko. I jest dosyć zaskakująca (cytujemy ją w całości): „Spółka nie udziela szczegółowych informacji na temat spraw personalnych zgodnie z obowiązującymi standardami, dodatkowo uregulowaniami w zakresie przepisów wynikających z rozporządzenia RODO. Wszystkie procesy rekrutacyjne w Grupie ORLEN prowadzone są w sposób transparentny, zgodny z uregulowaniami wewnętrznymi i przepisami prawa”.

A mecenas Zaborowski? „Niestety nie posiadam stosownych pełnomocnictw do działania w poniższej sprawie” – odpisał. Prawnik w mailu dodał, że daliśmy mu zbyt mało czasu na uzyskanie stanowiska prezesa, więc zaproponowaliśmy mu przedłużenie terminu. Reakcji już nie było.

Odpowiedź ABW

Zadaliśmy także pytania ABW. Zespół prasowy odpisał nam tak (cytujemy całość): „Odpowiadając na pytania dotyczące poświadczeń bezpieczeństwa Pana Daniela Obajtka i Pani Beaty Z. [tu pełne nazwisko], uprzejmie informujemy, że zasady przyznania i cofnięcia poświadczenia bezpieczeństwa regulują

przepisy ustawy z dnia 5 sierpnia 2010 r. o ochronie informacji niejawnych.

Jednocześnie pragniemy podkreślić, że przepisy art. 72 ust. 1 i art. 73 ust. 3 ww. ustawy nakładają na ABW ograniczenia co do możliwości udostępniania danych z akt postępowań sprawdzających i akt postępowań bezpieczeństwa przemysłowego oraz ewidencji osób uprawnionych na podstawie ww. ustawy do dostępu do informacji niejawnych o klauzuli «poufne» i wyższej.

Odnosząc się do pozostałych pytań: ze względu na ograniczenia prawne Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego nie udziela informacji. Natomiast dysponentem sprawy p. B. Z. [tu pełne nazwisko] jest Prokuratura Okręgowa w Krakowie”.

OZI i kłopot z certyfikatem

Informacja o tym, że Obajtek współpracował z ABW, a prowadząca go oficer Beata Z. została skazana za nadużycia, rzuca nowe światło na przyczyny kłopotów prezesa Orlenu z dostępem do informacji tajnych.

– Jeżeli w wewnętrznym dochodzeniu wyszło, że OZI świadomie przekazywał nieprawdziwe informacje i zatajał swoje związki z oficer prowadzącą, to jest to przeszkoda, która nie pozwala na wydanie takiej osobie poświadczenia bezpieczeństwa – tłumaczy nam były oficer ABW.

Jego zdaniem już samo to, że ktoś był osobowym źródłem Informacji, też jest przesłanką negatywną. – To oznacza, że to jest osoba podatna na naciski – wyjaśnia nasz rozmówca. – Co innego, gdy ktoś jest zarejestrowany jako konsultant, tutaj podobnej przeszkody nie ma. ●

Pod parasolem ochronnym Kaczyńskiego

Obajtek jest ilustracją, jak wygląda prywatne państwo PiS

Czuchnowski



System stworzony przez prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego zapewnia Danielowi Obajtkowi całkowitą bezkarność

W lutym 2018 r. Daniel Obajtek – dzięki decyzji, która zapadła w partyjnej centrali PiS przy ul. Nowogrodzkiej w Warszawie – został prezesem Orlenu, największej polskiej firmy i jednego z największych koncernów w naszej części Europy.

Kierowniczą posadę w Orlenie błyskawicznie dostała też Beata Z., prywatnie bliska znajoma Obajtka z rodzinnych stron, ale też była funkcjonariuszka ABW, która dopiero co odeszła do cywila.

W „Wyborczej” ujawniliśmy właśnie, że – według naszych źródeł – Beata Z. jako oficer delegatury w Krakowie wciągnęła Obajtka, wtedy wójta Pcimia i członka PiS, na listę swoich informatorów.

Gdy ich wzajemna relacja wyszła na jaw, w ABW wybuchł skandal. Ostatecznie Beata Z. odeszła – oficjalnie na mundurową emeryturę – w atmosferze podejrzeń o sprzeniewierzenie służbowych pieniędzy, za co w marcu 2022 r. została prawomocnie skazana przez krakowski sąd. Mimo to nadal pracuje w Orlenie z pensją 15 tys. zł. Zaś koncern Obajtka chroni Beatę Z., odmawiając odpowiedzi na wszelkie pytania.

A pytaliśmy np., dlaczego koncern zatrudnił dawną funkcjonariuszkę? I czemu ochrania ją nawet po wyroku sądu? Odpowiedź znamy: bo Obajtek chciał, mógł i nadal może.

W Polsce PiS jest tylko jeden człowiek, który ma podobne przywileje i który mógł na to wszystko pozwolić. To Jarosław Kaczyński, prezes rządzącej partii. To za jego wiedzą i zgodą wszystkie instytucje państwa rozłożyły nad Obajtkiem parasol ochronny.

W 2016 r. specjalnie dla niego Sejm zmienił przepisy tak, by prokuratura pod rządami Zbigniewa Ziobry mogła wycofać z sądu akt oskarżenia wobec dzisiejszego prezesa Orlenu. A zarzuty wobec niego były bardzo poważne: miał współdziałać z Maciejem C., ps. Prezes, brać łapówki i oszukiwać firmę Elektroplast Józefa i Romana Lisów, prywatnie wujów Obajtka. Dzisiejszy

prezes Orlenu zaczynał w niej karierę i pracował od 1995 do 2006 r. W sumie miał na tych przestępstwach zarobić ok. 700 tys. zł, groziło mu wieloletnie więzienie.

Nie przeszkodziło to PiS zrobić Obajtka w 2015 r. szefem Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, choć nie miał żadnego doświadczenia w zarządzaniu podobną strukturą. Potem wskoczył na fotel koncernu Energa, wreszcie Orlenu. Wszędzie dokonywał czystek i zatrudniał partyjnych „krewnych i znajomych królika”.

To „pod Obajtka” znowelizowano w 2020 i 2022 r. dwie strategiczne ustawy: o kontroli niektórych inwestycji oraz kodeks spółek handlowych. Pierwsza zmiana dała mu swobodę przy sprzedaży przejętego właśnie przez Orlen Lotosu inwestorom z krajów współpracujących z putinowską



To za wiedzą i zgodą Jarosława Kaczyńskiego wszystkie instytucje państwa rozłożyły nad Obajtkiem parasol ochronny

Rosją (Saudi Aramco i węgierski MOL), bo omijała opinię wywiadu i kontrwywiadu wojskowego.

Druga zapewnia mu bezkarność za podjęte decyzje. A jesienią 2022 r. posłowie PiS próbowali przeforsować ustawę trzecią, która miała „zabetonować” Obajtka na stanowisku prezesa Orlenu przez najbliższych pięć lat. Ta ostatnia – po fali krytyki – ostatecznie została wycofana z Sejmu.

A przecież to nie koniec. W 2021 r. „Wyborcza” ujawniła „taśmy Obajtka”. Słychać na nich, jak ówczesny wójt Pcimia kierował z tylnego siedzenia spółką konkurencyjną wobec Elektroplastu (z wujami był już wtedy skłócony), choć jako samorządowiec nie mógł tego robić, a potem skłamał w tej sprawie przed sądem. Włos mu z głowy nie spadł.

Dopóki władza roztacza nad nim parasol ochronny, Obajtek może robić – nie tylko w Orlenie – co chce. Odmawia informacji o szczegółach sprzedaży Lotosu. Nasyla prokuraturę na kontrolerów NIK, którzy chcą zbadać dokumenty koncernu. Wcześniej nie wpuszcza ich, bezczelnie twierdząc, że Orlen jest firmą prywatną.

Tak jak prywatne jest dziś całe polskie państwo pod rządami PiS. ●

Wojciech Czuchnowski

PiS zadowolony z siebie. Znamy wewnętrzne sondaże

– Z badań nam teraz wychodzi, że możemy liczyć na jakieś 200 do 210 mandatów, a z Konfederacją mamy większość – słyszymy od ważnego polityka obozu władzy. Nasi rozmówcy przyznają jednak, że jest grupa wyborców, która „się jakby na PiS obraziła”.

Agata Kondzińska

– Bałem się sytuacji z węglem, ale już wiemy, że to się uspokoilo. Obawiałem się też, gdy w grudniu spadła z porządku obrad ustawa o Sądzie Najwyższym, bo to dawało opozycji czas, by wymyślić różne scenariusze, ale nic nie wymyślili, tylko się skłócili – mówi nam poseł PiS.

PiS: nie było końca świata

Nowela ustawy o Sądzie Najwyższym jest nadzieją PiS na odblokowanie unijnych pieniędzy w ramach Krajowego Planu Odbudowy. To ok. 150 mld zł w bezpośrednich dotacjach i tanich pożyczkach. Są zamrożone od ponad roku m.in. z powodu niszczenia przez obóz władzy wymiaru sprawiedliwości. Warszawa podczas negocjacji zgodziła się w zeszłym roku na wiele tzw. kamieni milowych. To m.in. zmiana systemu dyscyplinarnego dla sędziów, czego pierwszym krokiem była likwidacja Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego i powołanie Izby Odpowiedzialności Zawodowej.

Najnowsza nowelizacja zgłoszona przez PiS zakłada m.in., że sprawy dyscyplinarne sędziów przejmie od IOZ Naczelny Sąd Administracyjny. Na takie zmiany nie zgadza się Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry, od dawna publicznie krytykująca premiera Mateusza Morawieckiego za zbytnią – jej zdaniem – uległość wobec Brukseli.

W przegłosowaniu nowelizacji pomogła część opozycji, wstrzymując się od głosu (z jednolitego frontu wyłamała się w ostatniej chwili Polska 2050 Szymona Hołowni). Teraz PiS czeka na decyzję prezydenta Andrzeja Dudy, który nie był zadowolony z te-

go, że nie informowano go o szczegółach negocjacji z Komisją Europejską.

– Skłócona opozycja, która wciąż dyskutuje, czy iść razem, czy osobno, dość nam pomaga. Sami wiemy, że nasze klótnie z Ziobrą są niemiłe widziane wśród wyborców, u opozycji nie może być inaczej. Dlatego nie bagatelizujemy sytuacji, to zawsze może być część teatru, a na końcu się jednak dogadają – ocenia poseł PiS.

Jego zdaniem opozycja ułatwia zadanie władzy, bo od początku rządów Zjednoczonej Prawicy kilka razy ogłaszała już „koniec świata”. – Jak siedzisz w grudniu przez święta w Sejmie [chodzi o protest opozycji w 2016 r.], to dajesz sygnał, że naprawdę jest źle. Jak wyprowadzasz ludzi na ulicę, to też ich przekonujesz, że jest bardzo źle. Katastrofa w Odrze również miała nas zatopić. Opozycja przegrzała wiele tematów, teraz trudno jej będzie znów przekonać, że nadchodzi kolejny koniec świata – twierdzi osoba z rządu.

Będą łowić na opozycji

Według naszych rozmówców obóz władzy ma badania, z których wynika, że jest grupa wyborców Zjednoczonej Prawicy, która „się jakby na PiS obraziła”. – Ale uruchamia ich Donald Tusk, jak tylko realne staje się, że mógłby wrócić do władzy. Wtedy ci nasi wyborcy są gotowi jednak nas poprzeć – słyszymy od ważnego polityka z partyjnej centrali przy ul. Nowogrodzkiej w Warszawie.

Inny ujawnia, że w badaniach obóz władzy ma od 200 do 210 mandatów. – To, co najważniejsze, to fakt, że opozycja nie może otoczyć nas kordonem sanitarnym, bo np. z Konfederacją mamy większość i moglibyśmy tworzyć rząd – dodaje nasz rozmówca.



• 13.12.2022 r., Sejm. Głosowanie nad wnioskiem opozycji o wotum nieufności dla ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Sami byliśmy osiem lat
w opozycji i wiemy,
jak ciężko byłoby
być w niej kolejne cztery*

Jeszcze inny rozmówca „Wyborczej” z obozu władzy kalkuluje, że jeśli PiS po raz trzeci zyska parlamentarną większość, to będzie próbował łowić w opozycyjnych partiach, np. w PSL, może Polsce 2050 Szymona Hołowni. – Sami byliśmy osiem lat w opozycji i wiemy, jak ciężko byłoby być w niej kolejne cztery. Jednak władza ma więcej narzędzi, by przekonać do poparcia – podkreśla.

W opublikowanych w ostatnim czasie sondażach tylko CBOS daje większość parlamentarną dla PiS i Konfederacji (mają odpowiednio 32 i 7 pkt proc.; KO ma 22, Polska 2050 – 7, a Lewica 5 pkt proc.; PSL z 3 pkt proc. jest pod progiem). W Kantar Public sporą większość ma

opozycja – PiS i KO mają po 29 pkt proc., Lewica i Polska 2050 – po 8, a Konfederacja tylko 5 pkt proc.; PSL też jest pod progiem z 2 pkt proc.

Ale w obozie władzy i tak czekają na koniec zimowego sezonu. I decyzję Komisji Europejskiej o odblokowaniu pieniędzy z KPO. – Wtedy rozpocznie się prawdziwa kampania. Styczeń i luty to zawsze spadek nastrojów, dlatego teraz są działania mobilizujące partię, potem wyborców – przekonuje nasz rozmówca. Jego zdaniem partię, które tworzą Zjednoczoną Prawicę, powołają swoje sztaby wyborcze, a nad wszystkim będzie czuwał jeden zespół koordynujący.

Poręba na kampanię

Mimo że oficjalnie nie ma jeszcze kampanii wyborczej, PiS już powołał swój sztab. Jego szefem ma być europoseł Tomasz Poręba, który przed laty prowadził kampanię partii Jarosława Kaczyńskiego. – To będą najważniejsze pod każdym względem wybory po 1989 r. Musimy wygrać i wierzyć, że to zwycięstwo jest absolutnie możliwe – mówił Poręba tuż po decyzji komitetu politycznego PiS, że to on pokieruje kampanią 2023 r. ●

Wstrzymują drakońską reformę Ziobry

Sztandarowa reforma kodeksu karnego Zbigniewa Ziobry okazała się niezgodna z innymi ustawami. PiS chce opóźnić jej wejście w życie.

Chodzi o przygotowaną w resorcie sprawiedliwości obszerną nowelizację kodeksu karnego, która ma zmienić politykę karną w Polsce i zaostrzyć kary. W lipcu ub.r. uchwalili ją Sejm, w grudniu pod ustawą znalazł się podpis prezydenta. Andrzej Duda zignorował przy tym głosy licznych ekspertów od prawa karnego ostrzegających, że „niehumanitarna” ustawa jest buble.

„Forsowana przez ministra sprawiedliwości nowelizacja ma charakter destrukcyjny” – uznało wcześniej 173 naukowców specjalizujących się w prawie penalnym. Jak ostrzegali, jej wejście w życie doprowadzi do powstania luk, niespójności i absurdów. Na przykład sprawcy skazane-

mu za kilkanaście drobnych przestępstw może grozić aż 30 lat więzienia, bo widelki kary łącznej mają zostać rozszerzone z 20 do 30 lat.

Ustawa likwiduje karę 25 lat więzienia i wprowadza możliwość wysyłania do więzień na trzy dekady. Wprowadzi też tzw. bezwzględne dożywocie, czyli bez teoretycznej nawet możliwości zwolnienia. Skutkiem będą naruszenia europejskiej konwencji praw człowieka.

Ustawa pełna bubli

Teraz okazuje się, że ustawa nie może wejść w życie zgodnie z planem – w marcu – bo jest niezgodna z innymi ustawami. Przyznał to w czwartek w Sejmie wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchol. Jak mówił, kolizja występuje pomiędzy nowym kodeksem karnym (określa sankcje za przestępstwa) a zmienionym kodeksem karnym wykonawczym (reguluje sposób wykonania kar).

– W momencie uchwalania kodeksu karnego nie był jeszcze uchwalony kodeks karny wykonawczy. Doszło w związku z tym – wskutek siły wyższej – do niezawinionych przez nikogo niezgodności między jedną ustawą a drugą – mówił Warchol.

Reforma kk też ma zmienić zasady odpowiedzialności karnej nieletnich. Jak się teraz okazało, jest niespójna z ubiegłoroczną ustawą o wspieraniu resocjalizacji takich osób.

Jak to możliwe, że do tego doszło? Zaangażowany w prace nad reformą prokurator Tomasz Szafranski mówił, że kolizje wystąpiły, bo gdy w Sejmie pracowano nad zmianą prawa karnego, dwie pozostałe ustawy nie weszły jeszcze w życie. Nie można więc było się do nich odwołać.

Oznacza to, że zanim reforma karna wejdzie w życie, trzeba będzie znowu zmienić prawo, aby dopasować do siebie ustawy. – Musi

być przygotowana nowelizacja, która uzgodni treść kolidujących przepisów. Wymaga to wejścia w życie dużej nowelizacji kk w późniejszym terminie – mówił Szafranski.

– Jesteśmy zmuszeni prosić o wydłużenie vacatio legis – dodał Warchol.

Niekonstytucyjne wyjście z sytuacji

Vacatio legis nowelizacji kodeksu karnego wynosi trzy miesiące, które miną 13 marca. W czwartek PiS zgłosił poprawki, które mają je wydłużyć do 1 października. Problem w tym, że zgłoszono je w drugim czytaniu projektu nowelizującego zupełnie inną ustawę – kodeks postępowania cywilnego.

Jak zauważyli sejmowi legislatorzy, na tym etapie prac nie można wprowadzać do projektu zmian wykraczających poza jego zakres. Oznaczałoby to bowiem pominięcie ich pierwszego czytania.

– W ustawie nie umieszcza się przepisów, które wykraczałyby poza regulowany przez nią zakres. Poprawki poza ten zakres wykraczają – mówiła na posiedzeniu sejmowej komisji przedstawicielka Biura Legislacyjnego Sejmu. – W związku z tym, że poprawki zgłoszono w drugim czytaniu, może to naruszać art. 2 konstytucji – zasadę poprawnej legislacji – dodała.

Uchwalone w taki sposób przepisy mogą zostać uznane za niekonstytucyjne. – Nie ma żadnego ryzyka, aby ktokolwiek uznał, że dochodzi do naruszenia zasady poprawnej legislacji – przekonywał jednak Szafranski. Sejmowym legislatorom zarzucał, że w „dziwny” sposób odwołują się do zasady trzech czytań sejmowych. – Ta poprawka nie niesie żadnych negatywnych skutków dla obywatela. Jest to poprawka w interesie publicznym – mówił. ●

Łukasz Woźnicki

Przemycają przepis pod Kaczyńskiego

Sejm przy okazji nowelizacji kodeksu postępowania cywilnego zmienił przepisy dotyczące kosztów zasądzonych przeprosin. Będą mniejsze, a niezakończone jeszcze sprawy rozstrzygane według nowych zapisów i obejmą m.in. sprawę Radosława Sikorskiego z Jarosławem Kaczyńskim – pisze Wirtualna Polska.

Rafał Wójcik

Sejm uchwalił w czwartek nowelizację przepisów, na których będzie mógł skorzystać prezes Prawa i Sprawiedliwości. Dziennikarz WP Patryk Słowik tłumaczy, co się w praktyce zmieni. Teraz jest tak, że sąd, orzekając w sprawie dotyczącej naruszenia dóbr osobistych, może nakazać pozwanemu przeproszenie powoda m.in. w mediach.

Jeśli wyrok nie zostanie wykonany, osoba, która ma zostać przeproszona, może wszcząć procedurę mającą doprowadzić do publikacji wycekiwanego oświadczenia. Opiera się ona na zleceniu przeproszenia w praktyce „samego siebie” i ściągnięciu kosztów przeprosin z majątku osoby, która sprawę przegrała, lecz nie zrealizowała wyroku.

Kaczyński nie chce przeprosić

Taka sytuacja ma właśnie miejsce w sporze pomiędzy Jarosławem Kaczyńskim a Radosławem Sikorskim,

europoselem Koalicji Obywatelskiej i byłym szefem MSZ.

Mecenas Jacek Dubois napisał 1 grudnia na Twitterze: „Na prośbę Radosława Sikorskiego informuję, iż Sąd nieprawomocnie przyznał Radosławowi Sikorskiemu od Jarosława Kaczyńskiego kwotę 708 480 zł na pokrycie kosztów opublikowania przeprosin w serwisie Onet. Jarosław Kaczyński musi przeprosić na podstawie prawomocnego wyroku”.

Chodzi o rozmowę z Onetem w 2016 r. Kaczyński oskarżył wtedy Sikorskiego, że w 2010 r. jako szef MSZ popełnił „zdradę dyplomatyczną” po katastrofie smoleńskiej, w której zginęli prezydent Lech Kaczyński i 95 innych osób. Wg prezesa PiS Sikorski zablokował skierowaną do Rosji notę polskiego MSZ, by miejsce katastrofy uznać za strefę eksterytorialną. Taka nota nigdy jednak nie istniała, a Sikorski niczego nie blokował. Pełnomocnicy ministra wykazali to w czasie procesu.

Prawomocny wyrok w sprawie przeprosin zapadł w 2020 r., ale Ka-



FOT. SŁAWOMIR KAMINSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Prawomocny wyrok w sprawie przeprosin Radosława Sikorskiego zapadł w 2020 r., ale Jarosław Kaczyński nie wykonał i do dziś nie wykonuje wyroku

czyński nie wykonał i do dziś nie wykonuje wyroku. Dlatego pełnomocnicy Sikorskiego złożyli do sądu wniosek o wykonanie zastępcze (publikacja na koszt prezesa PiS), a kiedy okazało się, że koszt jest bardzo wysoki, złożyli wniosek o ściągnięcie pieniędzy od Kaczyńskiego.

Tego właśnie dotyczy orzeczenie określające koszt na 708 tys. zł. Prezes PiS może się od tego odwołać, ale jeśli znów przegra, kwota może wzrosnąć ze względu na dostosowanie cenników do inflacji.

Kaczyński powiedział w rozmowie z „Gazetą Polską”, że będzie zmuszony sprzedać dom, a zapewne i to nie wystarczy, bo jest właścicielem tylko jednej trzeciej nieruchomości. Jego zdaniem w całej sprawie chodzi nie o sprawiedliwość, tylko o finansowe pognębienie go.

Wystarczy Monitor Sądowy

Jak podaje Patryk Słowik, „wiele wskazuje jednak na to, że Jarosław Kaczyński nie będzie musiał sprzedawać domu. W uchwalonej właśnie nowelizacji kodeksu postępowania cywilnego umieszczono bowiem inną procedurę egzekwowania przeprosin za naruszenie dóbr osobistych”.

Nowo dodany paragraf ma stanowić, że jeśli w sprawach o naruszenie dóbr osobistych dłużnik nie składa oświadczenia odpowiedniej treści i w odpowiedniej formie, pomimo wyznaczenia terminu do jego złożenia i zagrożenia mu grzywną, sąd wymierzy dłużnikowi grzywnę do 15 tys. zł i nakaze zamieszczenie w Monitorze Sądowym i Gospodarczym na koszt dłużnika ogłoszenia odpowiadającego treści wymagane-

go oświadczenia i we właściwej dla niego formie.

– Ujmując najprościej: wystarczy zapłacić do 15 tys. zł i opublikować przeprosiny nie w poczytnych mediach, tylko w Monitorze Sądowym i Gospodarczym, do którego przeciętna osoba nie zagląda – wyjaśnia w rozmowie z WP prof. Mariusz Bidziński.

Ale, jak informuje Słowik, najistotniejsze jednak mogą być przepisy przejściowe. Dodany już w toku sejmowych prac legislacyjnych artykuł określa, że jeśli przed wejściem w życie nowych przepisów przepraszany nie wyegzekwował pieniędzy od przepraszającego, to dłużnik będzie mógł wystąpić do sądu o uchylene orzeczenia nakazującego zapłatę.

Sąd zaś powinien – czytując się w nowe przepisy – orzeczenie uchylić. Zastosowana zostanie korzystniejsza dla naruszającego dobra osobiste procedura. W ten sposób Kaczyński będzie mógł uniknąć zapłacenia ponad 700 tys. zł Sikorskiemu.

Na Twitterze szef klubu KO Borys Budka zapewnił, że w Senacie opozycja zmieni ten zapis.

Ekspert zwracają zaś uwagę, że wiele osób chętnie obrzuci kogós błotem, np. dla politycznych celów, a potem zapłaci maksymalnie 15 tys. zł i opublikuje przeprosiny w niszowym monitorze, którego prawie nikt nie czyta, zamiast w poczytnym medium. ●

Szef ruchu do pilnowania wyborów

Wielka społeczna akcja wyborcza do pilnowania uczciwości wyborów – to odpowiedź Platformy Obywatelskiej na „próby podważenia reguł gry wyborczej”. Do jej przeprowadzenia Donald Tusk wskazał Sławomira Nitrasa.

Mimo protestów opozycji PiS właśnie przegłosował zmiany w kodeksie wyborczym. Politycy tej partii tłumaczą, że wszystko, co wpisali do nowelizacji, ma służyć lepszej frekwencji. A chodzi m.in. o zwiększenie liczby komisji obwodowych, darmowe dowożenie wyborców do miejsc głosowania.

Opozycja twierdzi, że PiS-owi chodziło nie tyle o frekwencję, ile o zwiększenie szans w wyborczym pojedynku. Dodatkowe komisje będą powoływane na terenach wiejskich, które gromadzą zwolenników partii rządzącej.

Przeciwnych szybkiej nowelizacji było też blisko 50 organizacji pozarządowych. W ich stanowisku autorzy pisali o pośpiechu, braku konsultacji społecznych, precyzyjnych zapisów i oceny kosztów zmian, co narusza regułę zaufania obywateli do państwa.

– Jeśli dziś w świetle kamer są gotowi manipulować przy ordynacji wyborczej, to łatwo sobie wyobrazić, że będą także zdolni do innego typu manipulacji, i coraz częściej wysnuwane domysły, obawy artykułowane publicznie, że PiS jest gotowy także sfalszować wybory, są niestety coraz bardziej uzasadnione – mówił w piątek Tusk, komentując wydarzenia w Sejmie.

Platforma, która od kilku miesięcy jest w podobnym projekcie z KOD i pozostałymi partiami opozycji, zdecydowała, że zorganizuje obywatelską kontrolę wyborów pod własnym szyldem. Tematem zajmie się poseł Sławomir Nitras.

– Współpracujemy od pewnego czasu z KOD, dziś wiemy, że potrzebujemy najlepszych, najsilniejszych ludzi do tego, by zmobilizować tysiące do przypilnowania tych wyborów – stwierdził Tusk. – Dlatego zwróciłem się do człowieka znanego z energii, umiejętności organizacji, wielkiego optymizmu i sprawczości, by zajął się przygotowaniem obrony wyborów przed manipulacjami i fałszami. Mamy w swoich szeregach Sławomira Nitrasa i nie zawahamy się go użyć.

Według naszych rozmówców z opozycji decyzja o budowaniu własnego korpusu pilnowania wyborów oznacza, że PO na poważnie przygotowuje się do samodzielnego startu. Zaś wybór Sławomira Nitrasa to – jak słyszymy – „właściwie wykorzystanie jego aktywności”.

Sam Nitras, który jest jednym z bliższych współpracowników Rafała Trzaskowskiego, był oskarżany o próby rozbicia Platformy Obywatelskiej. Chodziło o czas rządów

Borysa Budki. Platforma zjechała w sondażach do 12-14 proc. Część prominentnych polityków tej partii twierdziła, że Trzaskowski z Nitrasem budują polityczną alternatywę. PO miałby zastąpić nowy szyld. Trzaskowski niezmiennie zaprzeczał, partyjni krytycy wiedzieli swoje. Po powrocie Tuska Nitrasowi wróźono koniec kariery.

– Owszem, były takie głosy, ale Tusk postawił sprawy jasno: teraz kluczowa jest rozgrywka z PiS, nie chce mieć konfliktów w partii – objaśnia nasz rozmówca.

Nitras pracował przy kampanii prezydenckiej Trzaskowskiego, organizował Campus Polska. W PO mówią, że ma talenty, poza tym „ogarnia młodych”. – Człowiek

jest temperamentny, trzeba z tej cechy umieć skorzystać – słyszymy od polityka PO. Inny dodaje: – Ciekawy ruch Tuska.

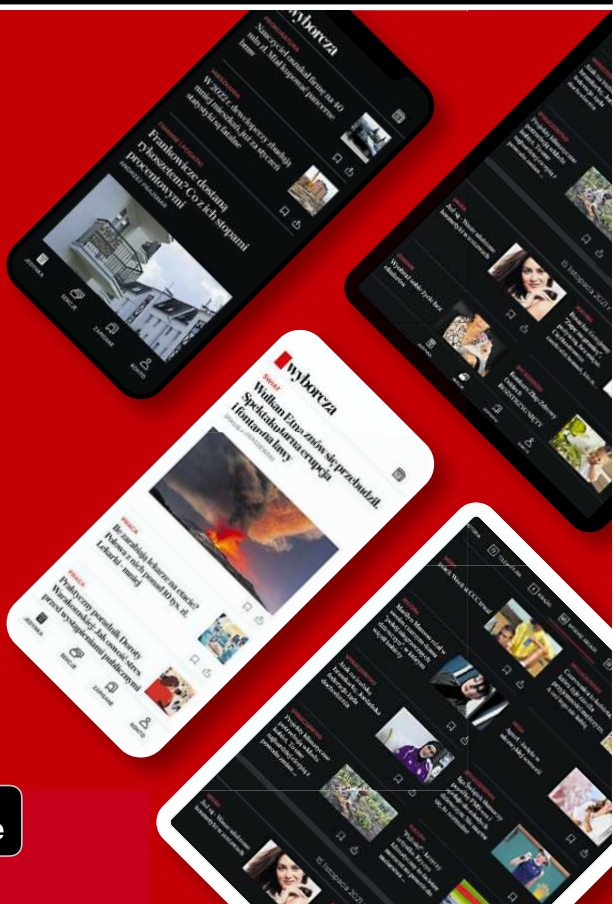
Sam Nitras mówi „Wyborczej”: – Nigdy żadna partia nie robiła akcji na taką skalę. Chcemy mieć swoich przedstawicieli w każdej komisji, to tysiące ludzi. ●

Iwona Szpala



APLIKACJA WYBORCZEJ

Wygodnie i zawsze pod ręką



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34232310

Akcja Brauna z „ukraińską choinką”

Znany z prorosyjskich i antyukraińskich wypowiedzi poseł Konfederacji Grzegorz Braun dokonał „interwencji poselskiej”, wynosząc z krakowskiego sądu choinkę z symbolami UE i ukraińską flagą. A zjawiał się tam nieprzypadkowo.

Wojciech Czuchnowski

Posel Braun zeznawał w piątek w procesie przeciwko „Wyborczej”. Jako świadek radykalnego aktywisty Marka Majchra, który pozwał nas za tekst z 2016 r. i domaga się 2 mln zł. Przy czym sąd zwolnił go od ponoszenia opłat sądowych – wyniosłyby w tym przypadku 100 tys. zł.

Zanim poseł Konfederacji wszedł na salę sądową, wyżył się na choince, która stała w korytarzu sądu. Braun nie mógł znieść, że na bombkach są napisy „Konstytucja”, gwiazdki Unii Europejskiej oraz ukraińska flaga. Razem z Majchrem dokonał „interwencji poselskiej”. Wśród inwektyw wynieśli choinkę, tłukąc po drodze ozdoby, a potem triumfalnie umieścili ją w koszu na śmieci. Nikt im nie przeszkadzał. Film z tego zdarzenia można zobaczyć w internecie.

Następnie odbyła się rozprawa, na której Braun zeznawał, a Majcher zapewniał, że nie jest wrogiem Ukrainy i zwolennikiem putinowskiej Rosji.

Marecki, czyli Majcher. Albo Czujny

Sprawa dotyczy tekstu „Wyborczej” z czerwca 2016 r. Pisaliśmy wtedy o akcji ABW, która wkroczyła do mieszkań działaczy radykalnej prawicy głoszących prorosyjskie poglądy i podejrzewanych o to, że brali udział w prowokacyjnych działaniach na terenie Ukrainy i we wschodniej Polsce (chodziło m.in. o niszczenie pomników UPA).

O przeszukaniu dokonany w jego domu poinformował jeden z działaczy na swoim Facebooku.

Wg ustaleń „Wyborczej” służby weszły też do mieszkań innych aktywistów, w tym do mężczyzny, który przedstawiał się jako „Marek Marecki”.

Ale tekstem nie poczuł się dotknięty Marek Marecki, lecz Marek Majcher. W sądzie przekonuje, że to on jest Mareckim i że Marecki to jego pseudonim, którego często używa. Sprawę dodatkowo komplikuje fakt, że Majcher posługuje się jeszcze pseudonimem „Czujny” i jako „Czujny” prowadzi stronę internetową Czujny.pl. Wyrobił sobie nawet legitymację prasową i przedstawia się jako dziennikarz.

Majcher/Marecki/„Czujny” twierdzi, że został dotknięty tekstem „Wyborczej”, i zapewnia, że „wszyscy wiedzą”, iż tekst na temat Mareckiego dotyczył Majchra. Nie wiadomo, czy sąd przyjmie te argumenty. Na razie przesłuchiwanie są świadkowie, wśród nich Braun.

W piątek stwierdził, że nie czytał artykułu i nie wie, jakie szkody w wyniku tej publikacji poniósł Majcher. Poseł najwięcej miał do powiedzenia o „Wyborczej”. Nazywał ją „gadzinówką” i przez ponad godzinę – za zgodą sądu – opowiadał, jak bardzo szkodzi Polsce.

„Czujny” na antyukraińskiej manifestacji

Majcher w toku rozprawy mówił o swoich krzywdach i zapewniał, że nie jest zwolennikiem Putina, przeciwnikiem walczącej z rosyjską agresją Ukrainy ani wsparcia tego kraju przez NATO. O jego poglądach świadczy jednak nie tylko akcja z choinką. Na facebookowej stronie Majchra/„Czujnego” jest świeża – z 13 stycznia 2023 r. – relacja



• Grzegorz Braun i Marek Majcher wynoszą choinkę z krakowskiego sądu

Braun nie mógł znieść, że na bombkach są napisy „Konstytucja”, gwiazdki Unii Europejskiej oraz ukraińska flaga

z marszu antywojennego zorganizowanego w Warszawie przez prorosyjskie Kamracto.

Relacjonujący wydarzenie Majcher mówi, że organizatorzy wystąpienia to ludzie, którzy na pierwszym miejscu „mają dobro ojczyzny, nie chcą ją wypychać do wojny, bo to nie jest nasza wojna, a oni mają w sercu dobro swoich rodzin”.

– Redakcja Czujny.pl jest tu z kamerą, żeby pokazać, że są ludzie, którzy chcą pokazać, że „Jeszcze Polska nie zginęła”, i nie poddają

się kolejnemu błędowi, bo po dwuletnim oblężeniu „plandemicznym” mamy kolejny oblężenie i pranie mózgów – tłumaczy Majcher.

Manifestacja przeszła spod Sejmu pod Zamek Królewski. Jej uczestnicy nieśli hasła „Armia Stanów Zjednoczonych won z Polski” i „To nie nasza wojna”. Na plakatach mieli amerykańską flagę, gdzie zamiast gwiazdek były trupy czaszki, a z czerwonych pasów lała się krew. W wystąpieniach na placu Zamkowym mówili, że „polski rząd liże dupską Ukraińcom”, protestowali przeciwko wieszaniu w Polsce flag ukraińskich oraz krzyczeli: „Śmierć wrogom ojczyzny – podżegaczom”. Na jednym z banerów skrót NATO rozwinięty był jako „Naloty Ataki Terror Okupacja”.

Tak jak wielu obecnych na protestach Majcher był w przeszłości aktywnym działaczem antyszczepionkowym (stąd jego słowa o „plan-

demii”). Podobnie jak Braun robił awantury w sklepach i pociągach, gdy obowiązywały maseczki ochronne. W ocenie analityków (m.in. Anny Mierzyńskiej z OKO.press) po wybuchu wojny w Ukrainie wielu antyszczepionkowców propaguje dziś przekaz Kremla na temat agresji Putina.

Kilka wyroków Majchra

41-letni Marek Majcher przedstawia się jako „dziennikarz antysystemowy”. Ma też dosyć bogatą kartę w Krajowym Rejestrze Karnym. Od 2004 r. był kilka razy skazywany na grzywny, więzienie (przesiedział około dwóch lat) oraz przymusowe umieszczenie w zakładzie psychiatrycznym.

Chodziło o pospolite przestępstwa: podrabianie pieniędzy, jazdę po pijanemu, porwanie własnego dziecka, znieważanie funkcjonariuszy. Sam przedstawia się jako „ofiara systemu”. ●



Nowa PSYCHOLOGIA DLA RODZICÓW

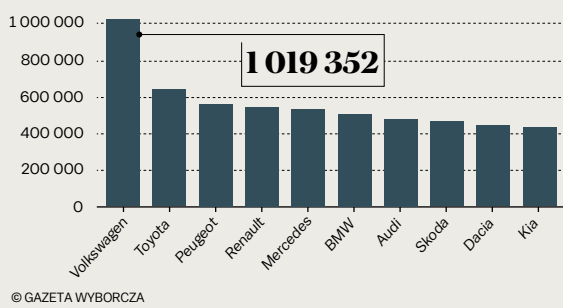
w sprzedaży!

- **SYGNAŁY ALARMOWE**
Jak odróżnić depresję od buntu nastolatka?
- **PIERWSZA MIŁOŚĆ**
Jak wspierać zakochane dziecko?
- **WPATRZENI W EKRANY**
Jaka będzie przyszłość pokolenia alfa?

140

MLD DOL.
• na tyle Ukraińcy szacują wartość szkód spowodowanych przez Rosję. Zniszczonych zostało 150 tys. budynków mieszkalnych, 1400 szkół oraz 865 przedsiębiorstw wywołujących straty w majątku przedsiębiorstw wynosząc 13 mld dol.

Najpopularniejsze auta w UE w 2022 r.



Pieniądze powinny być efektem pasji, zaangażowania, nie celem w samym sobie. Jeśli ktoś zakłada restaurację po to, bo chce zainwestować, to nie przetrwa

PIOTR MÜLLER
rzecznik rządu



MAGDA GESSLER:
Pieniądze powinny być efektem pasji, zaangażowania, nie celem samym w sobie. Jeśli ktoś zakłada restaurację tylko dlatego, że chce zainwestować trochę grosza, to nie przetrwa

Rozmowa ► V

Złoto to nie tylko ozdoba. To tarcza antyinflacyjna

Efekt (złotego) motyla

W trzecim kwartale 2022 roku banki centralne kupiły 400 ton złota. To największa liczba od 22 lat, a licząc rok do roku, tempo wzrostu zakupu złota przez banki centralne jest największe od 1967 roku.

Ireneusz Sudak

Wyobraźmy sobie dużą wywrotkę. Ale taką naprawdę sporą, która ma osiem kół, czyli cztery osie. Roczna produkcja złota to zaledwie 12 takich wywrotek – ok. 240 metrów sześciennych – 4,6 tys. ton. Większość złota pochodzi wprost z kopalni, ale kilkaset ton to recykling starej elektroniki.

Mijają lata, a żądza złota (i popyt na nie) nie maleje. Rynek jest w równowadze: raz więcej kupują banki centralne, raz zwykli konsumenci, bo chcą kolejne pierścio-

nek i kolczyki, a innym razem inwestorzy, którzy kupują sztabki i zasilać prawdziwym złotem produkty inwestycyjne. Tak było w pandemii, gdy popyt zwykłych konsumentów spadł, za to złoto kupowały państwa.

Rekordowe ceny

Dziś ceny złota są blisko rekordowych wartości, czyli 2 tys. dol. za tonę. Czy to dobry moment na zakup? I czy aby na pewno trzeba śledzić chwilowe ceny złota na rynku?

Ze złotem jest jak z użytkami – nie wolno przesadzać. Warto



je mieć w portfelu, ale nie warto wszystkich swoich oszczędności pakować właśnie w kruszec. Ale tego, że nie warto wkładać wszystkich jajek do jednego koszyka, każdemu, kto choć trochę interesuje

się finansami osobistymi, przypominać nie trzeba.

To nie błyskotka z bazaru

W przypadku złota warto powtórzyć tę lekcję, bo nic innego – ani

akcje Apple'a czy Tesli, ani nawet Orlenu, żadne fundusze inwestycyjne – nie rozpala takich emocji jak złoto. Dlatego wśród wielu osób może być pokusa, by zamienić wszystkie posiadane oszczędności właśnie w złoto. Szczególnie gdy wybucha pandemia albo wojna. Właśnie wtedy Mennica Polska, jeden z większych dystrybutorów złota w Polsce, sprzedawała klientom indywidualnym 1,8 tony złota. Czyli o 400 kg więcej niż w 2021 roku.

Dlaczego zakup impulsywny jest zły? Bo inwestycja w złoto nie jest taka prosta. To nie jest bazar, na którym trzeba tanio kupić, a drogo sprzedać.

Trzeba pamiętać o trzech rzeczach. •

• **Czy cena złota wzrośnie?**
► IV

Kup grę albo obedrzemy ze skóry małą dziewczynkę

Albo ściągniesz grę, albo bohaterka, często małe dziecko, zostanie zasypana żywcem, splonie, utonie, zamrznie lub zostanie zjedzona przez drapieżniki. Wszystko za zgodą regulaminu cyfrowych gigantów, aprobujących to w swoich sklepach. Reklamy zaczęły nas szantażować. I robią to w sposób wyjątkowo okrutny.

▼ Filmy, na których maltretowani są bohaterowie gier, mają zachęcić użytkownika do instalacji gry i wykupienia wersji bez reklamy

FOT. SCREEN
Z TELEFONU



Tomasz Jakubowski

Kobieta wyrzucona z domu znajduje dziecko w śmietniku. Samotna lub z niemowlęciem w ręku, błąka się wśród śnieży i trafia do zrujnowanej posiadłości. Dom należał do jej babci, by przetrwać, musi go wyremontować. W środku nie ma praktycznie nic – mebli brak, cieknie woda, dach jest dziurawy.

Kolejna scena: kobieta w ciąży (w późniejszych wersjach z niemowlęciem lub ok. 4-, 5-letnim dzieckiem) w niewyremontowanym, dziurawym domu zyczajnie marznie. Jest zima, a jej dziecko nie ma ubranka, nawet bucików. Kobieta z maleństwem zaczynają trząść się z zimna i bólu. Sinieją i tracą zdrowy kolor skóry. Padają na ziemię z wyczerpania.

W innej odsłonie kobieta ma sińce na całym ciele. Podbite oczy, poranioną skórę. Lub babcia dziewczynki ma założony, ciekący krwią temblak na rękę. Dziewczynka ściąga z siebie kurtkę i przykrywa babci nogi. Sama szlocha z zimna i bólu.

Brzmi brutalnie? To nie scenariusz dramatu obyczajowego, ale reklama gry. I to banalnej, trzeba w niej zbierać owoce lub ułożyć trzy takie same elementy w rzędzie. Właśnie takie gry na smartfony są teraz reklamowane za pomocą wyjątkowo brutalnych filmów, żerujących w najtańszy możliwy sposób na emocjach oglądających. Ekspert nie mają wątpliwości, że takich reklam będzie coraz więcej, a obrazy – coraz brutalniejsze. Dlaczego? Bo okrucieństwo powszedniało, nie jesteśmy już tak wrażliwi jak kiedyś.

– Takie reklamy prawdopodobnie będą pojawiać się częściej, tak długo, jak platformy będą na nie pozwalać. Kontrolerska przykuwa uwagę, a o rozgłos właśnie chodzi – sprzyja mu przesuwanie granic i ślizganie się na granicy moralności czy nawet legalności – mówi „Wyborczej” dr Piotr Sobolewski, specjalista z zakresu połączeń psychologii i sztucznej inteligencji w grach wideo z Politechniki Wrocławskiej. – Niezależnie jak negatywne są nasze odczucia i jak bardzo negatywnie ocenimy taką reklamę, twórcom najprawdopodobniej chodzi o zdobycie rozgłosu, o dotarcie do jak największej grupy odbiorców. Reklamy te przeszły zapewne badania fokusowe i sprawdzono dokładnie, jaki jest ich odbiór wśród grupy docelowej. To, że ktoś jest nią oburzony, oznacza niestety, że reklama osiągnęła swój cel, jak również pokazuje, że prawdopodobnie ten ktoś nie jest w grupie docelowej twórców – dodaje.

Czyli: to się zwyczajnie oplaca.

Gry w każdej kieszeni

Rynek gier mobilnych kwitnie od lat, ale prawdziwy boom nastąpił w czasie pandemii. Kolejne lockdowny i społeczna izolacja sprawiły, że szukaliśmy nowych form rozrywki – padło na proste gry na smartfony. Jak wyliczyła firma App Annie, tylko podczas pierwszej fali koronawirusa wartość transakcji dokonanych w grach mobilnych wyniosła 19 mld dolarów. Z badań firmy analitycznej NewZoo wynika, iż rynek gier mobilnych jest wart obecnie dużo więcej niż rynek gier na PC i konsole razem wziętych. Jest to także najszybciej rozwijający się segment tej branży. Mówimy o dziesiątkach miliardów dolarów.

Prostota rozgrywki, śmiałe kolory, atrakcyjne dźwięki, a przede wszystkim kuszące obrazki świetnie zabiegają o naszą uwagę. A gdy już taką grę zainstalujemy, łatwo jest się w niej zatracić – robimy poziom za poziomem i zanim się zorientujemy, kończymy pięćsetny. A jedyne, co trzeba zrobić, to połączyć ze sobą trzy podobne elementy. Wkurzeni i w poczuciu zmarnowanego czasu naciskamy „odinstaluj”. A po kilku dniach, stojąc w kolejce w marke-



cie, banku czy urządzenie, szukamy w internetowym sklepie podobnej, zwykle darmowej gry.

Jednak nawet jeśli za grę nie zapłaciliście ani grosza nie znaczy wcale, że jest ona bezpłatna. Najczęstszym mechanizmem płatności są reklamy, często innych gier. Rynek kwitnie, każdego dnia tylko do sklepu z aplikacjami Google Play dodawanych jest ponad 3,7 tys. nowych gier! Jak zatem można zachęcić nowych użytkowników do ściągnięcia nowej gry?

Im bardziej skrzywdzimy, tym więcej ściągną

Część twórców reklam tych gier nie przebiera w środkach. Twórcy współczesnych reklam prezentowanych co kilkanaście sekund w „darmowych” grach na urządzenia mobilne doszli do wniosku, że zainstalujemy grę, a potem wykupimy w niej wersję bez reklam, jeśli odpowiednio „skrzywdzą” bohaterów, bo my – gracze – rzucimy im się na ratunek.

Skrzywdzić na ekranie można kobietę w ciąży, staruszkę, a nawet niemowlę. Mechanizm jest równie prosty, co brutalny: żeby pomóc krzywdzonym – musisz ściągnąć grę, w której i tak będą pojawiać się brutalne reklamy innych gier. Znikną, jeśli wykupisz płatną wersję ściągniętej apki. Jeśli tego nie zrobisz, postaci na ekranie będą stale maltretowane.

„Aż skóra zejdzie dziecku z ciała”

Niektóre przykłady brutalnych reklam opisaliśmy na początku tego tekstu. Ale na tym inwencja twórców się nie kończy.

Jest też wersja reklamy, w której na kobietę, na oczach trzyletniego może dziecka, zawala się płonący budynek. Przemarznięte, szlochające malarstwo rusza przed siebie, ale z wyczerpania przewraca się na śnieg. Tam znajduje je starsza, bezdomna osoba mieszkająca w opuszczonej ruderze. I koszmar dziewczynki zaczyna się na nowo. Dziecko w niemal każdym filmie gorzko szlocha.

Płacz dziecka to jednak za mało. W kolejnej scenie widzimy, jak przemarzniętej dziewczynce odchodzi z palca skóra. Widzimy pod zdartą skórą czer-

wone, żywe mięso malej, kilkuletniej dziewczynki.

– Reklama tego typu odwołuje się do tego, co w nas najlepsze, empatii. Jeśli widzimy, że komuś dzieje się krzywda, reagujemy – mówi nam Sylwia Pawłowska, psycholożka, starsza konsultantka w Instytucie Badań Rynkowych i Społecznych. – Problem w tym, że dorośli znacznie lepiej rozróżniają, co jest realistyczne, a co jest czystą fantazją. Dorosły w takiej sytuacji potrafi się emocjonalnie zdystansować, mając świadomość, że w rzeczywistości nikomu nie dzieje się krzywda, dziecko niekoniecznie. Poza tym, że mechanizm tych reklam jest skuteczny i zwiększa sprzedaż, to powoduje także coś dużo gorszego: ekspozycja na takie obrazy w dłuższej perspektywie prowadzi do odwrążliwienia i osłabienia empatii. Oswajamy się z tym i nie reagujemy. A wtedy twórcy naciskają jeszcze mocniej – dodaje psycholożka.

„Akceptujemy fikcyjną przemoc w kontekście gry”

Filmy tego typu mogą pojawić się co kilkanaście sekund. Jak to możliwe, że tak szokujące treści zostały zaakceptowane przez zespół twórców, specjalistów ds. marketingu czy w końcu zespół Google, który akceptuje lub odrzuca zgłoszenia gier dodawanych do sklepu z aplikacjami?

Przed przesłaniem czegokolwiek do np. Google Play materiały muszą spełnić określone warunki – być m.in. zgodne z „zasadami dotyczącymi treści i lokalnymi przepisami”. Sprawdziłem. Firma nie ma problemu z zamieszczaniem tak przerażających rzeczy. Choć Google zaznacza na swoich stronach, że „zabrania publikowania aplikacji przedstawiających nieuzasadnioną przemoc lub inne niebezpieczne czynności oraz umożliwiających ich wykonanie”, to – cytuję regulamin – „Generalnie dopuszczamy aplikacje przedstawiające fikcyjną przemoc w kontekście gry, np. w formie kreskówki”.

Tak więc przemoc, nieważne jaka, „w odpowiednim kontekście” jest akceptowana. Zapytałem o szczegóły tego tekstu w Google. „Mamy dokładnie określone zasady regulujące rodzaje reklam,

FOT. ALEX PHOTO
STOCK

Wartość rynku reklamy

100

MLD DOLARÓW

• taką wartość przekroczy w 2023 r. światowy rynek gier na urządzenia mobilne

Przemoc w reklamach w grach

3,4

MLD

• tyle zablokowano lub usunięto ponad reklam za naruszenie zasad w 2021 r. – przyznaje Google. Dodatkowo ograniczono 5,7 mld reklam. Zawieszono też 5,6 mln kont reklamodawców

które są dopuszczone do wyświetlania w sieci reklamowej Google. W przypadku reklam naruszających nasze zasady – usuwamy je” – odpowiedział niepodpisany z imienia i nazwiska „zespół prasowy”. Dodano też, że temat reklam został „niezwłocznie przekazany do właściwych zespołów odpowiedzialnych za przestrzeganie zasad sieci reklamowej i czekamy na ich odpowiedź”.

Google przyznaje też pośrednio, że to rosnący problem, bo w 2021 r. zablo-

kowano lub usunięto ponad 3,4 mld reklam za naruszenie zasad, a dodatkowo ograniczono 5,7 mld reklam. Zawieszono też 5,6 mln kont reklamodawców. „To trzykrotnie więcej niż w 2020 r.” – zdradza Google. Łatwo obliczyć, że przy tym tempie w kolejnych latach pójdzie to w dziesiątki miliardów „reklam niespełniających zasad”.

Problem jest na tyle duży, że już Parlament Europejski, widząc braki braki w ochronie przed patomarketingiem, wezwał do wprowadzenia lepszej ochrony graczy „przed uzależnieniem oraz manipulacją”. W sprawozdaniu, przyjętym 577 głosami, posłowie domagają się m.in. bardziej przejrzystych informacji na temat treści i zasad zakupu.

Obecnie jedyne, co można zrobić, by tych przerażających obrazków nie oglądać w telefonie, to oczywiście zakupić aplikację w wersji bez reklam. I tu dochodzimy do sedna: Jak wynika z raportu firmy analitycznej NewZoo, w 2020 roku wartość światowego rynku gier na urządzenia mobilne wyniosła 77 mld dol. Rok później było to już 90 mld. W 2023 roku przychody powinny wynieść już grubo ponad 100 mld dolarów.

Będzie tego dużo więcej

Tomek Bartnik z marketingowej pracowni koncepcyjnej One Eleven nie pozostawia wątpliwości, że taka forma reklamy nie tylko nie zniknie, ale będzie jeszcze gorzej. – Brutalność zawsze była. Kiedyś oburzalo nas strzelanie, dziś obdzieranie dziecka ze skóry. Mamy wokół siebie bardzo dużo różnego rodzaju treści, a poziom „patokontentu” jest ogromny i jest go coraz więcej. A my osuwamy się z tym coraz bardziej, bo ta granica brutalności w obrazach niemal codziennie jest coraz dalej przesuwana. Poziom szokowania treścią wzrasta, ale też wzrasta tolerancja wobec takich treści. Ludzie potrzebują niezwykle silnej stymulacji, by w ogóle coś odnotować. Ze względu na głęboką digitalizację i fragmentaryzację mediów obcuje my z nieprawdopodobną ilością bodźców. By cokolwiek nas ruszyło, „musimy dostać toporem między oczy”. Bodźców jest tak dużo, że to musi się przebić – mówi Bartnik.

Według eksperta z One Eleven chodzi też o jeszcze jedną rzecz. – Przy całym szacunku dla oburzenia i wrażliwości, producentów obchodzą wyłącznie z siebie i oglądalność. Będą to robić, dopóki to działa, bo chodzi po prostu o pieniądze. To twardy biznes – ocenia Bartnik.

Skóra z malej przemarzniętej dziewczynki będzie zdzierana jeszcze wiele razy. ●

Rynek gier mobilnych i liczba graczy rośnie

Według analizy NewZoo rynek wszystkich gier w 2021 r. wygenerował łącznie przychody w wysokości 180,3 mld dolarów, a do 2024 roku przychody mogą osiągnąć poziom 218,8 mld,

przy czym sam segment gier na urządzenia mobilne odpowiadać będzie za 116,4 mld dolarów.

W 2020 roku liczba osób grających w gry mobilne wzrosła o 12 proc. i przekroczyła

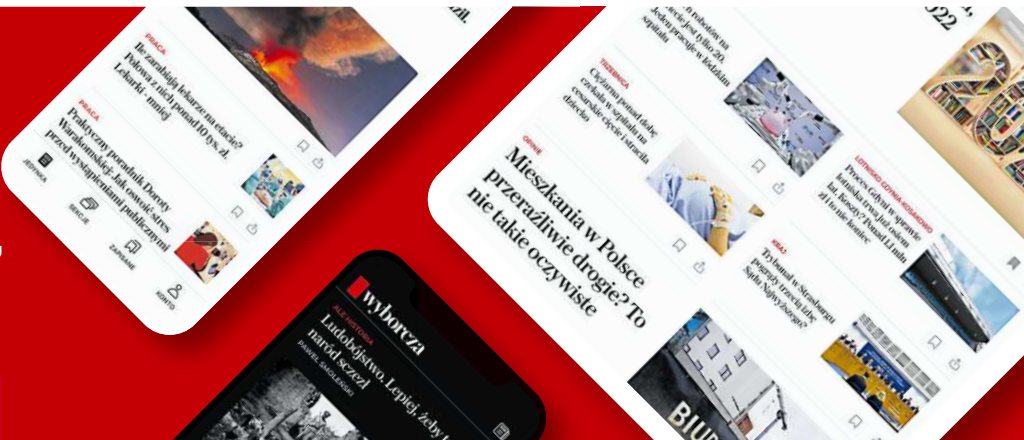
2 mld ludzi (dane za platformą Social Peta). NewZoo wyliczyła, że na razie tylko 38 proc. z nich jest skłonnych skorzystać z płatnych opcji w grach (czyli tych bez reklam). ●

APLIKACJA
WYBORCZEJ

Sprawdź, jak wygodnie
czyta się w aplikacji „Wyborczej”

POBIERZ Z
Google Play

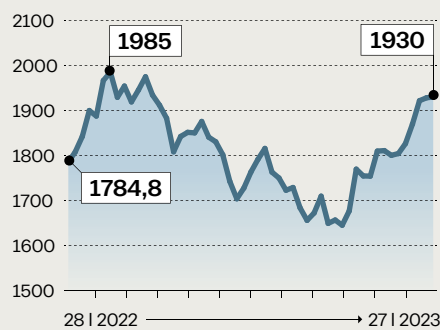
Pobierz w
App Store



Złoto? „Wesołego Diwali!”

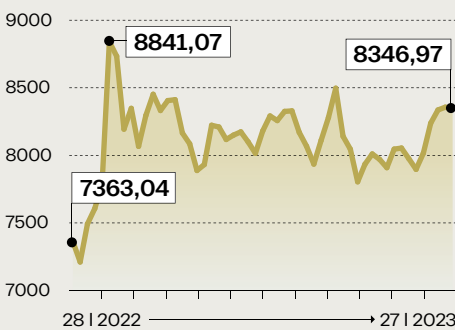
Cena złota

Dane w dol.



© GAZETA WYBORCZA

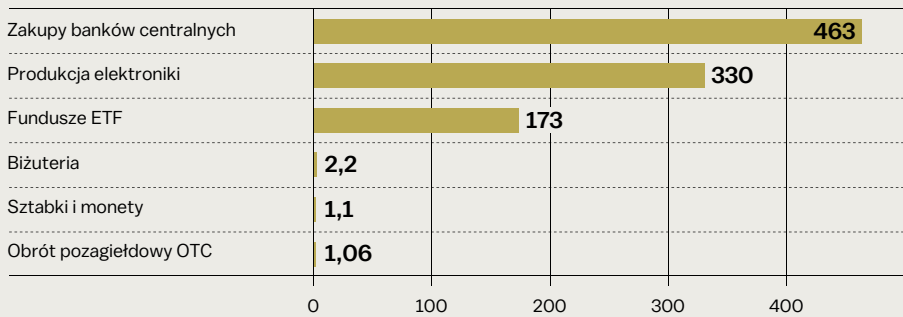
Dane w zł



ŹRÓDŁO: STOOQ.PL

Popyt na złoto w 2021 r.

Dane w tonach



ŹRÓDŁO: ŚWIATOWA RADA ZŁOTA

Na rynku trwa właśnie efekt „złotego motyla”. Indie przeżywają boom gospodarczy i demograficzny, miliony młodych Hindusów stają na ślubnym kobiercu. I na potęgę kupują złoto.

Ireneusz Sudak

Jeśli chcesz wiedzieć, jakie są perspektywy dla złota, trzeba patrzeć na to, co się dzieje w Indiach. Indie są światowym motorem rynku złota, być może nawet ważniejszym, a na pewno bardziej barwnym niż rynek zakupów złota przez banki centralne.

Według organizacji promującej inwestycje w złoto, która efektownie nazwała się Światowa Rada Złota (World Gold Council – WGC), na złote obrączki zużywa się połowę złota, które jest sprzedawane w Indiach.

Według WGC w Indiach złoto kupują wszyscy, a złotą biżuterię nosi się zawsze i do wszystkiego: jest ta ślubna, codzienna i odświętna. Złoto kupują nie tylko mieszkańcy miast, ale przede wszystkim mieszkańcy wsi. Dla nich złoto, tak jak przed wiekami, jest po prostu środkiem płatniczym, inwestycją.

WGC ostrzega, że gdy mieszkańcy wsi przeniosą się do miast, popyt na złoto może spaść. Na razie jednak to się nie dzieje. Mimo że różnie liczba osób, które mają konto w banku, popyt na złoto nie maleje.

– W długim okresie, czyli 5–10 lat, popyt na złoto w Indiach będzie rósł. Kraj się rozwija, ludzie się bogacą, przeprowadzają do miast. To będzie nakręcało koniunkturę, bo młode społeczeństwo będzie się żenić. Dla mieszkańców Indii złoto to nie tylko błyskotki. To element kultury, religii i tradycji – czytamy w raporcie WGC.

Nie ma dokładnych danych, ale rocznie w Indiach ślub może brać 11–13 mln par. Średnia wieku zamążpójścia to 22 lata. Do połowy tego stulecia 600 mln osób będzie w wieku do 25 lat.

Czyli Indie będą potrzebować milionów obrączek. I nie tylko.

Bo oprócz ślubów Hindusi złoto kupują przy okazji dwóch świąt – Diwali jesienią i Akshaya Tritiya wiosną. Sprzedaje się wtedy 40–60 ton złota.

W sumie Indie na biżuterię zużywają 611 ton złota rocznie i z tym wynikiem są na drugim miejscu na świecie. Do 2009 r. były pierwsze, ale wyprzedziły je wtedy Chiny. Dziś Chińczycy kupują 673 tony złota rocznie.

Już teraz Indie to najliczniejszy kraj świata, w którym żyje 1,4 mld ludzi. Kilkadziesiąt milionów więcej niż w Chinach, ale te nożyce będą się rozjeżdżać. Indie to demograficzny, rozpędzony pociąg, a w Chinach rodzi się najmniej dzieci od końca lat 40. To właśnie Indie mogą być w najbliższych dekadach głównym motorem rynku złota. I na rynku zadziała „efekt motyla” – pary, które staną na ślubnym kobiercu w Bom-

baju, napędzą zakupy złota i być może ceny tego kruszcu w Polsce.

DUŻE ZAKUPY BANKÓW

Ale złoto to nie tylko ozdoba. To tarcza antyinflacyjna. W trzecim kwartale 2022 r. banki centralne kupiły 400 ton złota. To największa liczba od 22 lat, a licząc rok do roku tempo wzrostu zakupu złota przez banki centralne jest największe od 1967 roku. Złoto kupowały przede wszystkim takie kraje jak Turcja, Uzbekistan i Katar. Turcja zmagą się z 70-proc. inflacją, wartość tureckiej liry szoruje po dnie, za jednego dolara trzeba zapłacić prawie 19 lir. Złoto jest jedyną twardą walutą.

Ale rekordy mogą być złudne, jak komentuje WGC, po prostu banki centralne z opóźnieniem zaczęły publikować to, ile złota kupiły w poprzednich kwartałach. A w poprzednich kwartałach wybuchła wojna w Ukrainie, zaczęła rosnąć inflacja. Być może właśnie dlatego państwa, szczególnie te położone na wschodzie mapy świata, zaczęły kupować złoto – jedną z niewielu twardych walut na czas wojen.

Za to w mijającym roku spadł popyt na złoto ze strony inwestorów finansowych. Wpływ na to miały przede wszystkim rosnące stopy procentowe – zamiast złota fundusze wolały kupować obligacje dolarowe, które dawały więcej zarobić, a też były bezpieczne (czy ktoś na serio myśli, że Ameryka zbankrutuje?). Gdy odpłynęli inwestorzy finansowi, w ich miejsce weszli zwykli ciulacze.

Analitycy rynku złota zwracają jednak uwagę, że biorąc pod uwagę bardzo duże podwyżki stóp procentowych i umocnienie się dolara, to kurs złota wynoszący 1950 dol. za uncję to bardzo dobry wynik. Prawie 6 proc. więcej niż przed rokiem. Ale czy jeszcze wzrośnie? A może to w ogóle bez znaczenia?

ILE ZŁOTA TRZEBA MIEĆ „W PORTFELU”?

Ze złotem jest jak z używkami – nie wolno przesadzać. Warto je mieć w „portfelu”, ale nie warto wszystkich swoich oszczędności pakować właśnie w kruszec.

Nic innego, ani akcje Apple czy Tesli, ani nawet Orlenu, żadne fundusze inwestycyjne, nie rozpała takich emocji jak złoto. Dlatego wśród wielu osób może być pokusa, by zamienić wszystkie posiadane oszczędności właśnie

Ile Polacy kupili złota?

17–18

TON

• **nawet tyle złota, według szacunków branżowych, Polacy mogli kupić w 2022 r. To o kilka ton więcej niż w 2021 r.**

w złoto. Szczególnie gdy wybucha pandemia albo wojna. Właśnie wtedy, Mennica Polska, jeden z większych dystrybutorów złota w Polsce, sprzedała klientom indywidualnym 1,8 tony złota. Czyli o 400 kg więcej niż w 2021 r.

Danych za cały rok nie ma, ale sprzedaż mogła być rekordowa. Tylko Mennica Polska sprzedała w ubiegłym roku 3 tony złota. Z kolei firma Tavex, globalny gracz na rynku złota obecny w Polsce, informuje nas, że w ubiegłym roku sprzedał 4 tony złota za 1 mld zł. W sumie, według szacunków branżowych, Polacy mogli kupić w 2022 r. nawet 17–18 ton. O kilka ton więcej niż w 2021 r.

Dlaczego zakup impulsywny jest zły? Bo inwestycja w złoto nie jest taka prosta. To nie jest bazar, na którym trzeba tanio kupić, a drogo sprzedać. Trzeba pamiętać o trzech rzeczach:

Po pierwsze, mówisz złoto – myślisz dolary. Złoto, jak większość surowców, wyceniane jest w dolarach. Czyli jego cena, którą płacą „w sklepie” klienci, kupując sztabkę, podlega ryzyku kursowemu. Przykład: cena złota wyrażona w dolarach wzrosła z 1900 dol. na 1950 dol., ale w tym czasie złoty się umocnił. Generalnie byłaby to dobra informacja, ale jeśli chcielibyśmy wymienić złoto na gotówkę, to wtedy w przeliczeniu na dolary dostalibyśmy mniej. Korelacja między ceną złota a kursem dolara to podstawowy parametr, który powinniśmy mieć z tyłu głowy.

Jeśli ktoś inwestuje w złoto, to nie po to, żeby zarobić na krótkoterminowych wahaniach, ale przede wszystkim, żeby bronić się przed inflacją. – Złoto jest więc w długim terminie niczym innym, jak zabezpieczeniem przed utratą siły nabywczej waluty – mówi Tomasz Gessner.

Po drugie, złoto sprzedawane jest ze sporą marżą. Przykład: jedna uncja złota (31,1 g) wyceniana jest na 1930 dol., czyli w przeliczeniu 8337 zł. Ale sztabki w tej cenie nie kupimy, bo przecież firma, która ją sprzedaje, też musi zarobić. Złoto nie produkuje się samo, trzeba je jeszcze wykopać, przetopić, dostarczyć do sklepu, opłacić sprzedawcę... Dzięki rosnącej konkurencji te marże maleją i wynoszą dziś kilka procent, a nie 20 proc. jak kilka lat temu.

Złoto warto mieć „w portfelu”, ale być może prędzej czy później będziemy chcieli je zamienić na gotówkę. Możliwość odkupu również jest bardzo ważna – gdy kupujemy złoto w danej firmie, sprawdźmy, jakie ma opcje wykupu: ile płaci za skup 1 uncji złota. To tak, jak w przypadku zakupu waluty na wakacje w kantorze: gdy kupujemy, płacimy nieco więcej niż wartość rynkowa. A gdy chcemy sprzedać to, co nam zostało, kurs jest już gorszy.

Po trzecie, złoto to nie tylko sztabki i pierścionki. Z roku na rok rośnie jednak popularność złota elektronicznego. Na przykład funduszy inwestycyjnych, które za powierzone pieniądze kupują w naszym imieniu fizyczne złoto. Zależy? Eliminujemy problem związany z przechowywaniem złota.

KUPUJĄ JUŻ NIE TYLKO MILIONERZY

To, ile i jakiego złota chcemy kupić, zależy tylko od naszego budżetu. Najdroższe, ćwierćki-

logramowe sztabki, kosztują ok. 71 tys. zł. Najmniejsze, jednogramowe, od 300 zł wzwyż. Czyli każdy znajdzie coś na swoją kieszeń.

Oprócz tego dostępne są monety inwestycyjne, tzw. bulionowe. W obydwu przypadkach, czyli sztabek i monet, ich zakupy są zwolnione z podatku VAT i ewidencjonowane. Czyli musimy się wylegitymować, żeby uniknąć ryzyka prania pieniędzy i próby ukrycia dochodów. To odróżnia zakup złota inwestycyjnego od zakupu biżuterii, która jest obłożona 23-proc. VAT-em.

Co jest w modzie? Jeśli chodzi o monety, to od lat nic się nie zmienia, Polacy najchętniej kupują południowoafrykańskie Krugerrandy, monety Wiedeński Filharmonik, Amerykański Orzeł, Kanadyjski Liść Klonowy, Britannia. Taki Krugerrand ma masę jednej uncji i kosztuje 8,8 tys. zł. Czyli więcej niż uncja złota.

To, co się zmienia na rynku, to to, że złoto kupuje coraz większa liczba Polaków, niekoniecznie bardzo zamożnych. Jak mówi nam Marta Bassani-Prusik, dyrektorka działu produktów inwestycyjnych w Mennicy Polskiej, na przestrzeni lat obserwowany jest wzrost popularności sztabek o mniejszej gramaturze.

– W ostatniej dekadzie były jednak okresy, gdy klienci preferowali sztabki 250-gramowe, a nawet kilogramowe. W 2022 roku największym zainteresowaniem cieszyły się sztabki 100- i 50-gramowe.

Kilogramowa sztabka kosztuje mniej więcej ćwierć miliona złotych.

SZTABKA ZAMIAST M

Kto w Polsce kupuje złoto? – Najbardziej liczną grupę stanowią osoby w wieku 41–65 lat. W kategorii asortymentu tzw. prezentowego (mniejsze sztabki i monety bulionowe) klienci dokonują transakcji do kwoty 1 tys. zł. Mniejsi inwestorzy to osoby, które realizują zamówienia do 50 tys. zł, a duzi powyżej 100 tys. zł – mówi Marta Bassani-Prusik.

A jakie są prognozy?

– Wysoka inflacja, coraz mniejsza możliwość inwestowania w mieszkania na kredyt, brak lokat bankowych, na których można zarobić, i oczywiście wojna w Ukrainie – to sprzyja rynkowi złota – mówi nam Jarośław Żołędowski, prezes Mennicy Skarbowej.

I dodaje, że wraz ze spadkiem inflacji inwestorzy mają nadzieję, że w 2024 roku główne banki centralne uruchomią „tryb luzowania” i zaczną obniżać stopy procentowe. To może z powrotem nakierować zainteresowanie inwestorów finansowych na złoto zamiast na obligacje. Ale to nie znaczy, że cena będzie rosła.

– W 2023 roku spodziewamy się umiarkowanych wzrostów na rynku złota. Sprzyjać temu będą ujemne realne stopy procentowe, recesja i niepewna sytuacja geopolityczna. Przeciwno złotu przemawiać będzie z kolei zauważalny spadek siły nabywczej Polaków – priorytetem pozostają codzienne zakupy, a nie budowanie oszczędności, zwłaszcza w trudnych czasach – mówi nam Aleksander Pawlak, prezes firmy Tavex. ●

Wielkie korporacje „przeżuwają” ludzi

– Obecnie panujący mają całą masę pomysłów na wspieranie Polski i polskości, ale bez refleksji ograniczają możliwość istnienia małych oraz średnich przedsiębiorstw i restauracji. Zamiast tego mnożą się lokale wielkich korporacji – mówi Magda Gessler.

ROZMOWA Z
MAGDĄ GESSLER

RAFAŁ PIKUŁA: Spacerując warszawskim Nowym Światem, widzę zamknięte lokale, które dawnej stanowiły charakter tej ulicy. Te, które przetrwały pandemią i inflację, to sieciówki. Nie wygląda to dobrze. Widać jak na dłoni, że w gastronomii mamy kryzys. **MAGDA GESSLER:** Mam gigantyczny kryzys, i to nie tylko w gastronomii. Ten w branży gastronomicznej to ledwie pikus wobec tego, co dzieje się powszechnie, wobec tego całego kryzysu wartości. Upada fabryka porcelany w Wałbrzychu, miejsce z bogatą historią, scheda historyczna dla polskiej sztuki użytkowej. Tak ważne dla polskiej kultury i każdy ma to w nosie. Nie chodzi wyłącznie o powszechną znieczulicę, która zalewa nasz kraj, ale tę radość, jakąś dziwną radość z dobijania biznesu, klasy średniej.

Kto dobija lokalny biznes i klasę średnią?
– Obecnie panujący mają całą masę pomysłów na wspieranie Polski

i polskości, ale bez refleksji ograniczają możliwość istnienia małych i średnich przedsiębiorstw i restauracji. Małych restauratorów nie stać na opłacanie horrendalnych rachunków za energię. Czynsze są kosmiczne. Zamiast tego mnożą się i dobrze się mają lokale wielkich korporacji, czyli sieciowe restauracje, kawiarnie, które stać na marketing, reklamę, czynsze i wysokie opłaty gazu i prądu.

Pandemia i związana z nią izolacja pokazały, jak bardzo tęsknieliśmy za restauracjami, za spotkaniami, za sobą. Teraz coraz częściej nie wychodzimy jeść „na mieście”, bo nas nie stać.
– Ludzie zaczynają się wstydzić własnego ubóstwa, nie tylko nie wychodzą do restauracji, ale też mniej chętnie niż kiedyś zapraszają do siebie. Dawna gościnność, podejmowanie gości chlebem i solą, herbatą i kanapką z serem, jest dziś nie do pomyslenia. Fałszywe wzorce z seriali i mediów społecznościowych zabiły w nas otwartość i spontaniczność. Coraz trudniej sprostać wyśrubowanym wzorcom podejmowania



FOT. VIPHOTO

Nie jest prawdą, że upadają miejsca dla elit, bo zamykają się miejsca dla średniozamożnych osób, gdzie można zjeść smacznie i w przystępnych cenach

gości. Rozbudza się w nas nierealne potrzeby i wyobrażenia, nie dając możliwości ich zaspokojenia.

No, ale jednak jeść trzeba. Nie każdy ma czas i chęci, aby gotować. Jednak jakieś knajpy muszą funkcjonować.
– Oczywiście zostaną wielkie sieciowe restauracje z kiepskim jedzeniem. Obok nich będzie działać przemysł farmaceutyczny. Te dwa biznesy żyją ze sobą w symbiozie. Sieciówki karmią nas syfem, potem chorujemy i wydajemy majątek na suplementy i leki. To się nawzajem nakręca.

Nie jestem aż takim pesymistą.
– Miejsca mogą przetrwać, ale ceny będą nieosiągalne dla większo-

ści ludzi. W cenę posiłku wliczone zostaną wszystkie składowe utrzymania restauracji. Najtrudniejsze są zawsze korepetycje z matematyki i ja ich teraz udzielam. W kryzysie trzeba nauczyć się liczyć, co nie znaczy, że trzeba oszczędzać na jakości. Pandemia i obecny kryzys to takie wielkie miotły, które zmiatają z rynku nieporadne i kiepskie biznesy. Zostają ci, którzy naprawdę potrafią gotować i robią to z pasją.

W ostatecznym rozrachunku jednak restauracja to biznes. Poza satysfakcją musi dawać pieniądze.
– Pieniądze powinny być efektem pasji, zaangażowania, nie celem samym w sobie. Jeśli ktoś zakłada restaurację tylko dlatego, że chce zainwestować trochę grosza, to nie przetrwa. Jeśli ktoś jednak ma pomysł na siebie, umie liczyć, ma odwagę i serce do tego, co robi, to i w kryzysie sobie poradzi. Dobre miejsce zawsze się obroni.

W Warszawie, żeby dobrze zjeść, to trzeba wydać od 50 złotych za jedno danie.
– Dlatego łatwiej dobrze i tanio zjeść poza dużymi miastami. Większość z moich 350 rewolucji kuchennych, które zrobiłam, miała miejsce w mniejszych miejscowościach. Tam spotykałam ludzi, którzy kochają gotować, i ludzi, którzy są chętni zapłacić za dobre jedzenie. Musi to jednak być wyjątkowe miejsce, unikalne. Ostatnio rewolucjonizowałam restaurację wyłącznie z mięsem z jeleni – „Je...Je...Jeleni” w Witnicy. Dziś są tam tłumy. To samo jest z miejscem, które serwuje dania z kaczki, czyli „Kacze zamieszanie” w Komornikach. Kolejne wspomniałem to „Bistro u Gębalskich” w Białymostku, „Złota świnka” w Komornikach czy „Bistro Kolorowe Wazy” pod Poznaniem. Te miejsca wyspecjalizowały się w konkretnych daniach, i to jest ich sposób na sukces. Od początku „Kuchennych rewolucji” uczę, aby zwracać uwagę na lokalne produkty i rozbudowywać ten temat. Zauważyć kartę. Wyróżniać się w konkretnej specjalizacji, jak miejsca, które wspominałam. Poza tym rodzinne biznesy górą! Gdy rodzina jest spójna, dogadana, to można osiągnąć naprawdę dużo.

Wąska specjalizacja to jednak pewne ryzyko, może dlatego większość restauracji serwuje pizzę i makarony.
– Polacy mają już dość pizzy i makaronów. Restauracja to nie stołówka, to fenomen. Nie da się robić kuchni dla wszystkich, oferować i kebab, i pizzę, i sałatkę, i schabowego. Tak jak nie można być ekspertem od wszystkiego, tak nie można gotować wszystkich kuchni.

Pani też nie zawsze jest łatwa do współpracy. Słynne rzucanie talerzami raczej nie wprowadza dobrej atmosfery.
– To nie jest żaden teatrzyk ani show. Rzucam talerzami, kiedy widzę, że do ludzi nie da się dotrzeć. Często jest tak, że ludzie najpierw się mnie boją, a potem mi ufają. Na końcu dziękują. Robię te rewolucje już tyle lat i widzę, jak dużo w Polsce się zmieniło. Dziś coraz rzadziej zdarza mi się rzucać talerzami, nie dlatego, że z wiekiem stałam się łagodniejsza, po prostu coraz częściej spotykam ludzi, którzy są otwarci na współpracę, rozumieją sens rewolucji i mają w sobie pasję do tego, co robią.

Czyli nie mówi pani „stop” temu projektowi?
– „Kuchenne rewolucje” są i nadal będą potrzebne. Szczególnie teraz, w kolejnym kryzysie, gdzie czynsze, prąd, gaz rosną do horrendalnych cen. Zawsze proponuję rozwiązanie, by nie wynajmować wielkich przestrzeni, bo ich się nie zapełni. Trzeba stawiać na małe, rodzinne bistra. Szacować liczbę gości, kupować na bieżąco świeże, dobre produkty. Mieć dobrych, dogadanych dostawców. Myśleć o każdym ruchu, wyprzedzać. Mądrze gotować, korzystać ze sprzętów energooszczędnych. Kalkulować. Nie wyrzucać jedzenia. Pakować na wynos. Bo przecież wyrzucanie też nas kosztuje. Odbieranie od nas śmieci jest horrendalnie drogie. Biznes restauracyjny to oprócz kuchni również matematyka i obsługa klienta. Klient jest najważniejszy. Dlatego ważne jest, aby podejmować go jak u siebie w domu. Każde państwo jest wtedy dochodowe i rośnie, kiedy ma rozbudowaną klasę średnią. ●

Rozmawiał Rafał Pikuła

Klub „Wyborczej”

Jak przywrócić Polskę Europie

Spotkanie online z **Włodzimierzem Cimoszewiczem**, byłym premierem, marszałkiem Sejmu i ministrem spraw zagranicznych, oraz **Ryszardem Schnepfem**, byłym ambasadorem RP w Waszyngtonie i Madrycie. Prowadzący: **Roman Imielski**

Obejrzyj na **wyborcza.pl**
JUTRO, godz. 20

Dołącz do Klubu „Wyborczej” na
Wyborcza.pl/prenumerata



Włodzimierz Cimoszewicz

Ryszard Schnepf

Przedsiębiorca Roku EY

Założył firmę, jak miał 17 lat. Pracował 17 godzin na dobę

– Współczuję ludziom, którzy myślą o rozwoju swojej – duże słowo – kariery zawodowej, muszą myśleć, że to jest coś za coś, że tak krwawia. Na ich miejscu bym się zastanowił, czy to w ogóle jest dobry kierunek – mówi Jakub Pawelski.

ROZMOWA Z
JAKUBEM PAWELSKIM
twórcą aplikacji LiveKid

PIOTR MIĄCZYŃSKI: Ile pan miał lat, kiedy zaczął programować? Bo jak ktoś patrzy na pański życiorys, to może zacząć mieć kompleksy.

JAKUB PAWELSKI: Późno. Jak popatrzymy na tych wszystkich ikonicznych ludzi typu Mark Zuckerberg, Sergey Brin, Bill Gates itd., to zaczęli programować, jak mieli 8, 9, góra 13 lat. Ja do 16. roku życia nie miałem z tym nic wspólnego. Rozumiem, że z perspektywy wyboru drogi zawodowej przez młodego człowieka 16 lat to jest jakby ciągle wcześniej. Ale benchmarkując się na tle typowego programisty, takiego, który potem zakłada dużą firmę, to za programowanie wziąłem się późno. Ale szybko poszło.

To co sprawiło, że się pan jednak zdecydował?

– Skończyłem poprzedni etap w życiu, czyli sport. Grałem w siatkówkę. I coś trzeba było z życiem dalej zrobić.

„Moja mama postanowiła otworzyć żłobek. Ja miałem wtedy 17 lat, pracowałem jako programista aplikacji mobilnej w krakowskim software housie i czasem zdarzało mi się wpaść na zajęcia do technikum”. To chyba pan nie był tam zbyt częstym gościem.

– Miałem pełnoetatową pracę, więc trudno było to połączyć z bywaniem w szkole. Jestem bardzo wdzięczny mojemu technikum, że było na tyle elastyczne, że mogłem to tak połączyć.

A to nie był Comarch?

– Nie. Mała firma, software house, który miał jednego głównego klienta, więc



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

w rzeczywistości było to wyoutsourcowane R&D firmy ze Stanów...

A tak po ludzku?

– Pracowaliśmy dla Appetize, start-upu ze Stanów zajmującego się oprogramowaniem dla restauracji i płatnościami, który zresztą został już sprzedany. Na szczęście praca była częściowo w godzinach dopasowanych do Los Angeles, więc dało się to jakoś godzić z tym, żebym był w szkole choć kilka razy w tygodniu.

Mówi się, że żeby zostać programistą, potrzebnych jest pięć lat ciężkiej nauki, solidnego doświadczenia. A u pana te kroki następowały, że się tak wyrażę, w dość przyspieszonym tempie, bo jak pan robił maturę, to się przenosił właśnie na Litwę.

– Tydzień po maturze mnie już nie było. Trudno mi się wypowiadać merytorycznie o wartości wyższego wykształcenia, bo go nie mam, ale może byłbym lepszym programistą, gdybym je uzyskał?

Wykorzystujecie dane rodziców, które pozyskujecie? To jest wielka pokusa, a wasza konkurencja ponoć to robi.

– Nie. Stworzyliśmy produkt, żeby ułatwić pracę i życie wychowawcom w przedszkolu, zarządzającym przedszkolami, żłobkami. Dostarczamy produkt, który faktycznie tę obietnicę spełnia. Ogranicza ilość czasu, który jest potrzebny na te czynności i ułatwia je. Dostajemy od nich za to pieniądze. To jest bardzo higieniczna relacja.

Dlaczego tylko żłobki, przedszkola, a nie podstawówki i licea?

– Na samym początku nie było żadnej dużej strategii biznesowej. Po prostu moja mama prowadziła żłobek. Między żłobkiem a przedszkolem nie ma dużej różnicy, a między przedszkolem a szkołą już jest, i to spora. Choćby dlatego, że musielibymy mieć czwarty typ użytkownika naszej aplikacji, czyli dziecko. Bo w szkole każde dziecko ma dostęp do swojego Librusa.

Poza tym nie jest tajemnicą, że rynek szkolny jest już rozdany. I w dużej mierze publiczny, podlega przetargom itd. My sprzedajemy swoją aplikację do prywatnych przedszkoli i żłobków. Bez przetargów. Ładnie, po biznesowemu mówiąc: charakter rynku szkolnego nie jest dopasowany do naszego modelu sprzedaży.

Jaką macie część rynku w tym momencie? Jesteście liderem?

– W Polsce? Zdecydowanie. Mamy lekko ponad 20 proc. rynku żłobków i przedszkoli prywatnych. Cała konkurencja razem wzięta pewnie ma drugie tyle. Natomiast przychodowo mają mniej. Mimo że wszyscy razem mają podobny udział w rynku, to jest to kilka razy mniejsza skala biznesu.

Co was wyróżnia na ich tle?

– Nie działamy w biznesie deeptechowym, opartym na jakichś patentach. Czy jest jakaś jedna rzecz, którą my mamy, a oni nie, i to powoduje, że klienci nas wybierają? Pewnie mógłbym dzisiaj wymienić ze trzy funkcje naszej aplikacji. Ale za dwa kwartały zostaną one skopiowane, co zresztą uznajemy za komplement.

Tak naprawdę duża część naszego biznesu nie polega na tworzeniu oprogramowania gdzieś tam w piwnicy programistycznej, tylko na jego wdrażaniu do istniejących organizacji, czyli do przedszkoli, żłobków. Gdzie często kadra jest w bardzo różnym wieku, gdzie są bardzo różne wyzwania technologiczne, słaby internet, niedobór smartfonów, tabletów itd.

Moim zdaniem potrafimy sprawić, żeby klient nie tylko kupił od nas aplika-

LiveKid to żłobek/przedszkole w smartfonie. Firma działa na czterech rynkach – w Polsce, Hiszpanii, Niemczech oraz w Meksyku. Zagraniczne rynki generują już prawie 1/3 przychodów. Obecnie LiveKid ma w swoim portfolio 3000 placówek edukacyjnych i 300 000 aktywnych użytkowników (rodziców). Wolumen procesowanych przez spółkę płatności przekracza obecnie pół miliarda złotych w skali roku.

wyborcza.biz

• Cały wywiad na [Wyborcza.biz](https://wyborcza.biz)

cję, ale był z niej zadowolony, wiedział, jak jej używać, i żeby ona zawsze odpowiadała jego oczekiwaniom. To jest trudne. Chodzi o zmiany ludzkich nawyków, zmiany przyzwyczajeń kulturowanych na przykład przez 20 lat. To wymaga dużej opieki. A my ją dajemy.

Powodem pana przeniesienia się do Barcelony było?

– Rozwój hiszpańskiej części biznesu i przejęcie firmy Dinantia, oczywiście.

A dlaczego pan nie kieruje tym biznesem z Polski?

– Po pierwsze, żeby była jasność pod kątem rezydencji podatkowej, ja tam przebywam, ale nie jestem cały czas. Jestem polskim rezydentem podatkowym.

A przebywam dlatego, że są duże różnice kulturowe. Zatrudniamy Polaków, Meksykanów, Hiszpanów, Katalończyków...

Czyli już się pan uwrażliwił, skoro pan Katalończyków wymienia.

– To są bardzo różne kultury. I ktoś musi to naprawdę zrozumieć, żeby móc dopasować działania marketingowe, sprzedażowe, produktowe w jednej firmie.

Przykład tych różnic kulturowych?

– Zanim zrobiliśmy przejęcie Dinantia, jeździłem do Hiszpanii rozmawiać z poprzednimi właścicielami. Ale wpięrow spędziłem trochę czasu, rozmawiając z polskimi przedsiębiorcami, którzy robili tam akwizycję na temat tego, w jaki sposób prowadzić taką transakcję, żeby to było dla drugiej strony komfortowe. ●

Rozmawiał Piotr Miączyński

Patronat wyborcza.biz
nad konkursem:

EY Entrepreneur Of The Year 20 LAT
Przedsiębiorca Roku

W konkursie EY Przedsiębiorca Roku już po raz 20. zostali wyróżnieni najlepsi polscy przedsiębiorcy i przedsiębiorczynie. Zwyczców poznamy 3 marca 2023 r.

Partnerami 20. edycji konkursu EY Przedsiębiorca Roku są:

- PKO Bank Polski
- Polski Fundusz Rozwoju
- Giełda Papierów Wartościowych w Warszawie
- Wyborcza.biz
- Puls Biznesu

Więcej czytaj na:
Wyborcza.biz/przedsiębiorcaroku

OGŁOSZENIE

Wiesz, jak wydobyć wartość z biznesu?

Poznaj inspirujące historie finalistów konkursu EY Przedsiębiorca Roku 2022.

przedsiębiorcaroku.pl

...
The better the question. The better the answer. The better the world works.

Właściciel projektu



Partnerzy konkursu



Bank Polski



Polski Fundusz Rozwoju



REKLAMA 34229078

Budynki mieszkalne jak z klocków? To przyszłość

– Proszę spojrzeć na Skandynawię, gdzie technologia prefabrykacji jest ogólnie przyjęta. Tam nie da się już inaczej budować, ponieważ pensje w Skandynawii są bardzo wysokie. Tradycyjna budowa ze względu na koszty robocizny byłaby za droga. Nikogo nie byłoby stać na to, aby kupić sobie mieszkanie – mówi Robert Jędrzejowski – prezes zarządu Pekabexu.

ROZMOWA Z
ROBERTEM JĘDRZEJOWSKIM
prezesem zarządu Pekabexu

PIOTR MIĄCZYŃSKI: Był pan maklerem, później partnerem zarządzającym funduszu specjalizującego się w restrukturyzacjach Sovereign Capital. To skąd się panu wzięły te prefabrykaty?

ROBERT JĘDRZEJOWSKI: Pekabex też był taką restrukturyzacją. Jedną z ciekawszych. Piętnaście lat temu wraz z kilkoma kolegami i inwestorem Maciejem Grabskim [znanym m.in. jako współzałożyciel i inwestor Wirtualnej Polski] po prostu przyjęliśmy przedsiębiorstwo w upadłości. Pekabex miał wtedy jedną fabrykę w Poznaniu. Pomysł był taki, żeby na jej miejscu było osiedle mieszkaniowe. Rok 2007, ceny nieruchomości szły w górę, wydawało się, że to będzie trwać zawsze. Ale nie trwało, rynek mieszkaniowy się załamał. Z perspektywy czasu oceniam, że uratowaliśmy kogoś, kto bardzo chciał tam budować, skórę. Zresztą to nie było jakieś supermiejsce na deweloperkę mieszkaniową.

Owszem, to miała być szybka restrukturyzacja, sprzedaż, taki deal kapitałowy, jak wtedy robiłem. Ale w budownictwie nadeszły bardzo trudne czasy i porzuciłem pierwotny plan. Fabryka została, a ja zostałem w Pekabexie, żeby pomóc. Potem zaczął się rozwój, kolejne przejęcia, budowaliśmy tę firmę, która po 15 latach wygląda tak, jak teraz wygląda. Lider w branży budownictwa systemowego. Firma, która działa nie tylko w Polsce, ale i na wielu zagranicznych rynkach. Jesteśmy mocno obecni w Szwecji, Danii, Niemczech.

Pekabex 15 lat temu miał 40 mln obrotu. Dzisiaj ma ponad półtora miliarda. Jakis czas temu jeden z moich pracowników chciał odejść do konkurencji. Zapytałem go: dlaczego chcesz to zrobić?

Co odpowiedział?

– Że tamta firma jest mała, dopiero się wszystko zaczyna, w Pekabexie jest już wszystko zrobione itd. Powiedziałem mu: Pekabex w skali Polski może jest i duży, ale w skali Europy jest jeszcze bardzo małym graczem. Wszystko jest przed nami. A nareszcie mamy zasoby kapitałowe i ludzi, żeby pewne pomysły realizować. Kreować trendy, a nie tylko kopiować czyjeś rozwiązania.

Mamy obecnie kilka różnych start-upów. Oferujemy prefabrykowane domy jednorodzinne dla klienta indywidualnego. Mamy joint venture z firmą Rebuild, już wybudowali nam trzy maszyny do automatyzacji produkcji. Kupiliśmy firmę FTO Fertigteilwerk Obermain z siedzibą w Marktzeuln, to Bawaria-Górna Frankonia. Co też jest samo w sobie oddzielną przygodą. W Niemczech budujemy dobrą markę dla Polski i Polaków.

Czym pana wielka płyta różni się od tej starej?

– Wszystkim. Nie zajmuję się wyrobem wielkiej płyty. Także jeśli chodzi o wiel-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ką płytę, to trzeba zapytać tych, którzy zajmują się tylko płytami.

Tak, owszem, robimy ściany. Ale domy czy szerszej, obiekty budowlane, składają się też z belek, słupów, stropów itd. A elementy ścienne są po prostu częścią naszego portfolio produktowego. Natomiast różnice między prefabrykatami z czasów socjalizmu a obecnymi są olbrzymie.

Tak, kiedyś jakość takich budów pozostawiała wiele do życzenia. Dzisiaj jakość naszych obiektów jest moim zdaniem dużo wyższa niż w technologii tradycyjnej.

Prefabrykacja to jest budowa pod dachem. A zwykła budowa jest na wietrze, śniegu, słońcu i Bóg wie, czym jeszcze. To musi pan sobie odpowiedzieć na pytanie, gdzie ta jakość jest łatwiejsza do uzyskania. Czy jest łatwiej upilnować i zmienić przyzwyczajenia jakościowe budowlanców w fabryce, czy na budowie? Śmiało.

Zresztą rozmowy o jakości prefabrykatów mamy już za sobą. Prowadziliśmy je kilka lat temu, zastanawiając się, czy ta technologia zostanie zaakceptowana przez klientów.

I żeby temat zamknąć raz na zawsze, wybudowaliśmy osiedle Jasielska przy Szarych Szeregów w Poznaniu. W skandynawskim stylu. Nie chcę być nieskromny, ale moim zdaniem to jest chyba najładniejsze osiedle w okolicy, a przynajmniej jedno z ładniejszych. Ludzie chcą tam mieszkać.

Tym się zresztą kierujemy.

Budowa z prefabrykatów jest tańsza?

– Jest szybsza w zależności od przypadku o jedną trzecią, a nawet o połowę. To już samo w sobie jest olbrzymią wartością. Domy jednorodzinne robimy w trzy miesiące. Potem obecność ekip budowlanych się sprowadza tylko do prac wykończeniowych.

A cena?

– Cena jest bardzo podobna, oczywiście w zależności od efektu, który jest zaplanowany.

Budujemy osiedle w Hamburgu, gdzie mieszkania są sprzedawane po 10 tys. euro, a nawet po ponad 20 tys. euro za metr.

A z drugiej strony, coraz mocniej wchodzimy w budownictwo społeczne. Robimy dla Polskiego Funduszu Rozwoju jeden projekt – 320 mieszkań przy ul. Okólnej w Toruniu, zaraz będzie chyba drugi. Rozmawiamy też z kilkoma samorządami na ten temat.

Nasza technologia jest wymarzona do taniego budownictwa społecznego. Beton jest bardzo modny, zwłaszcza w połączeniu ze stalą i drewnem. To fajnie wygląda. To jest coś, co ludzie lubią. Ale przy okazji takie połączenie jest trwałe, więc trudno je zniszczyć, a łatwo konserwować. ●

Rozmawiał Piotr Miączyński

Pekabex jest

wiodącym wytwórcą prefabrykatów, generalnym wykonawcą i deweloperem. Założony w 1972 roku, obecnie zatrudnia ponad dwa tysiące specjalistów w biurach, fabrykach i na budowach w Polsce, Niemczech i Skandynawii.

Wege Siostry

to rodzinna firma, która od 2017 roku produkuje roślinne alternatywy dla serów i masła. W konkursie EY Przedsiębiorca Roku są nominowane w kategorii „Nowy biznes”.

Od fotografii i „M jak miłość” do sera z nerkowców

– Dobre pytanie. Nie wiemy. Ale możemy nie mieć wyjścia. Przemysłowa produkcja mleka i mięsa nie pomaga naszej planecie. Roślinna – tak – mówią Zuzanna Rzymanek-Omulecka i Magdalena Rzymanek-Paczkowska, czyli Wege Siostry.

ROZMOWA Z
ZUZANNĄ RZYMANEK-OMULECKĄ I MAGDALENĄ RZYMANEK-PACZKOWSKĄ
Wege Siostrami

PIOTR MIĄCZYŃSKI: Pani była fotografem, pani pracowała przy produkcji serialu „M jak miłość”. A teraz robicie wegańskie sery.

ZUZANNA RZYMANEK-OMULECKA I MAGDALENA RZYMANEK-PACZKOWSKA: Zgadza się.

Pani Zuzanna, po prawie, odpowiada za gotowanie, pani Magda, po biologii, odpowiada za finanse.

ZUZANNA: Przewrotne, przyznaję. Aczkolwiek ma to wszystko sens.

Po siedmiu latach pracy przy produkcji serialu wyjechała pani do Australii. Dlaczego?

ZUZANNA: Bo chciałam coś zmienić w swoim życiu. Potrzebowałam przerwy, żeby przemyśleć sobie, co dalej. Na początku przez trzy miesiące była Azja. Pracowałam na przykład jako wolontariuszka na farmie motyli w Laosie. Tyle że nie chciałam wracać, tylko dalej podróżować. Dowiedziałam się o wizie, dzięki której można legalnie pracować w Australii. Trzeba o nią aplikować przed ukończeniem 31. roku życia. Byłam akurat w tym wieku. Ostatni dzwonek.

A że zawsze moją pasją było gotowanie, to poszłam za tym tematem.

Z zerowym doświadczeniem w zawodowej gastronomii.

ZUZANNA: I przez miesiąc nie mogłam znaleźć pracy. Pierwszą szansę dało mi trzech braci, którzy właśnie otwierali restaurację specjalizującą się w salatkach w stylu glamour. I tak gotowałam w restauracjach przez dwa lata. Robiłam na przykład twarożek z orzechów makadamia.

Pojechałam jeszcze do Nowej Zelandii i Japonii, aż w końcu wróciłam do Polski.

A dlaczego biolog zostaje fotografem?

MAGDA: Na ostatnim roku biologii stwierdziłam, że to chyba jednak nie jest to. A w związku z tym, że u nas w domu zawsze był aparat fotograficzny, chwyciłam go. Bardzo mi się spodobało to, że można w ten sposób zatrzymać chwilę.

Zapisałam się do Warszawskiej Szkoły Fotografii Mariana Schmidta. I stwierdziłam, że to chcę robić w życiu. Że to jest ważne, że sprawia mi to przyjemność, a na dodatek można jeszcze zarobić jakieś pieniądze.

Zawód freelancera, owszem, wymaga elastyczności. Jakiegoś tam planowania, ale dobrze mi z tym było.

To dlaczego się to pani znudziło?

MAGDA: Nie znudziło mi się. Mój mąż, Tomek, również był wtedy fotografem. Razem pracowaliśmy. Natomiast wiedzieliśmy, że jest to zawód, który wymaga ciągle świeżego spojrzenia, często zatrudnia się młodych ludzi, że bezpieczniej pieniądze, które zarabiamy, w coś zainwestować. Mieć jakąś odskocznnię na przyszłość.

Bo fotografię można zawsze robić. I do niej wrócić w pewnym momencie. Bo to jest przede wszystkim pasja.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Powiem szczerze, jak Zuzia powiedziała mi o alternatywie dla sera z nerkowców, to tak naprawdę nawet tego nie próbowałam.

Uwierzyła jej pani na słowo?

MAGDA: Oczywiście. Wiem, że Zuzia ma niesamowity smak. Po prostu wyszukałam, czy są w ogóle jakiekolwiek firmy, które coś takiego robią. Okazało się, że jest ich raptem kilka na całym świecie. Powiedziałam wtedy: Zuzia, robimy to. To jest to. Poprosiliśmy z Tomkiem o listę sprzętów, jakich potrzebuje, żeby rozpocząć miniprodukcję i próby.

Pani wpadła na pomysł serów z nerkowca, będąc jeszcze w Australii?

ZUZANNA: Już w Polsce. W Australii rzeczywiście chłoniłam dużo nowinek o rynku gastronomicznym i widziałam, że coś się w tym temacie dzieje.

Pamiętam, że rozmawiałam z szefem kuchni już w Warszawie na temat alternatyw dla nabiału. I jakoś w wyniku tej rozmowy stwierdziłam, kurczę, naprawdę można by spróbować coś takiego zrobić. Wiedziałam, że za granicą są tego typu produkty. Wiedziałam, że z orzechów nerkowca w Stanach robią roślinne sery.

Podjęłam próbę. Pierwsze roślinne serki z nerkowców powstały w wegańskiej restauracji, w której wtedy pracowałam.

A oni chętnie próbowali?

MAGDA: Właśnie niekoniecznie. Jak w 2017 czy w 2018 roku ktoś usłyszał „wegański ser”, to od razu się krzywił i miał trochę złe skojarzenia. Więc zaczynałyśmy oczywiście od tego, że jest to produkt na bazie orzechów nerkowca, pełnowartościowy, fermentowany tradycyjnymi metodami serowarskimi, naprawdę smaczny etc.

I jak kogoś się udało namówić do spróbowania, to już zazwyczaj zamykał. Ludzie byli w szoku, że roślinna alternatywa dla sera może być tak dobra.

Teraz już jesteście w dyskontach.

MAGDA: Nawet od 2020 roku. Pierwszą siecią, która zaprosiła nas do współpracy, był Lidl. Odezwała się do nas pani kupiec, że zaprasza nas do kontaktu. Teraz kluczowymi klientami są też Auchan, Carrefour, Rossmann.

W 2019 r. mieliście przychody 1,8 mln zł. A teraz?

MAGDA: Za 2021 było prawie 8 mln zł, w 2020 – 4,4 mln. Tuż przed wybuchem pandemii otworzyliśmy sklep internetowy. Okazało się to strzałem w dziesiątkę. Cała sprzedaż się nagle przeniosła do internetu.

Jesteśmy zyskowni. Natomiast za 2022 r. będziemy mieć trochę gorsze wyniki, 2022 to był rok inwestycji. ●

Rozmawiał Piotr Miączyński

Mniej przeszczepów nerek, lecz więcej serc

Możesz pomóc, niekoniecznie oddając swój narząd

57 lat temu po raz pierwszy w Polsce udało się z sukcesem przeszczepić nerkę. Z tej okazji 26 stycznia w Polsce ustanowiony został Dniem Transplantacji. Obecnie w kraju co roku wykonuje się ponad tysiąc przeszczepów narządów, jednak potrzebujących jest znacznie więcej. Każdy z nas może pomóc ten proces usprawnić.

Katarzyna Korzeniowska
Alicja Gadomska

Ponad pół wieku temu w Warszawie dwie nerki od zmarłej kobiety otrzymała czekająca na narządy 18-letnia dziewczyna. Sam zabieg transplantacji szczęśliwie się udał, jednak sześć miesięcy po nim pacjentka zmarła w wyniku martwicy trzustki. Ta pojawiła się w następstwie działania leków hamujących odrzucenie przeszczepu. Dopiero ponad dziesięć lat później do leczenia osób po przeszczepach wprowadzono bezpieczniejszą cyklosporynę – lek wyizolowany z grzybów, którego immunosupresyjne działanie potwierdzono w 1976 roku.

Dziś w Polsce przeszczepia się ponad tysiąc narządów rocznie, nie wliczając w to przeszczepów rogówki. Większość z nich stanowią transplantacje organów pobieranych od zmarłych dawców. – Jedna osoba, która umiera, jest w stanie uratować kilka-kilkanaście osób – mówi dr Maciej Bochenek z Kliniki Kardiochirurgii przy Instytucie Chorób Serca USK we Wrocławiu.

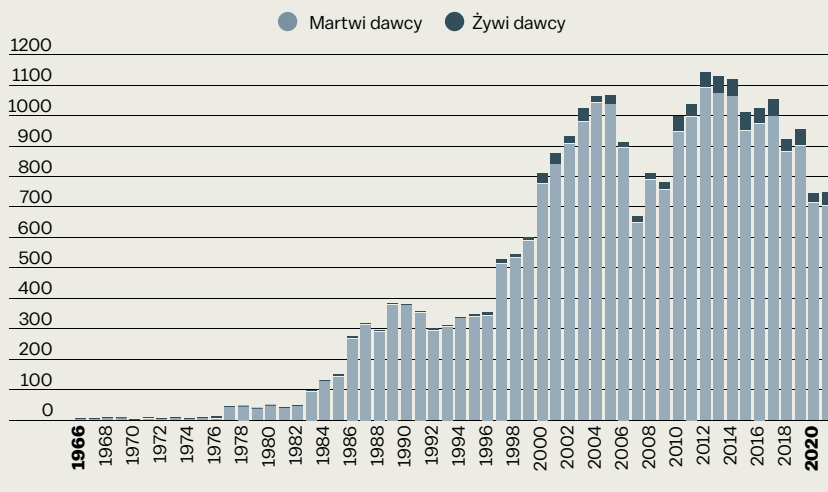
Od żywych dawców pobrać można jedynie fragmenty wątroby oraz nerki. To właśnie nerek potrzebuje w Polsce najliczniejsza grupa pacjentów – jak czytamy na portalu zyciezdializa.pl, są to osoby cierpiące na nieodwracalną niewydolność tego narządu, „wywołaną zwykle chorobami takimi jak cukrzyca, nadciśnienie tętnicze, wielotorbielowatość czy zapalenie kłębuszkowe”. Tylko w 2021 roku w Polsce przeszczepiono ponad 700 nerek, z czego kilkadziesiąt pochodziło od żywych dawców.

12 lat oczekiwania

Miarą ogólnej kondycji transplantologii jest liczba osób oczekujących na narządy i czas, jaki dzieli je od potencjalnej operacji. Niestety, czas oczekiwania na organy jest w Polsce bardzo długi. W swym raporcie NIK wskazuje, że „w 2016 r. rekordziści na transplantację czekali ponad 4 lata (1599 dni), a w 2020 r. nawet 12 lat (4382 dni)”. „Według stanu na koniec 2020 r. na krajowej liście osób oczekujących na przeszczep narządów było 1799 osób, w tym najwięcej osób oczekiwało na przeszczep nerki (1007 osób), serca (415 osób) i płuc (168 osób). Średni czas oczekiwania na przeszczep wynosił: w przypadku nerki – 430 dni (w trybie pilnym – 30 dni), serca – 603 dni (w trybie pilnym – 91), płuc – 225 dni (jeden dzień w trybie pilnym), a wątroby 121 dni (jeden dzień w trybie pilnym)”. Do tak trudnej sytuacji w 2020 roku przyczynił się wybuch pande-

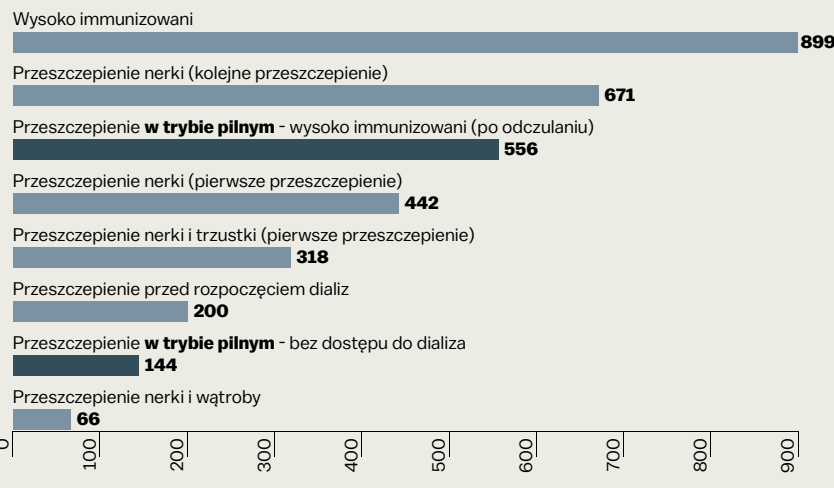
26 903 przeszczepione nerki

Liczba przeszczepionych organów od pierwszej udanej transplantacji w 1966 r.



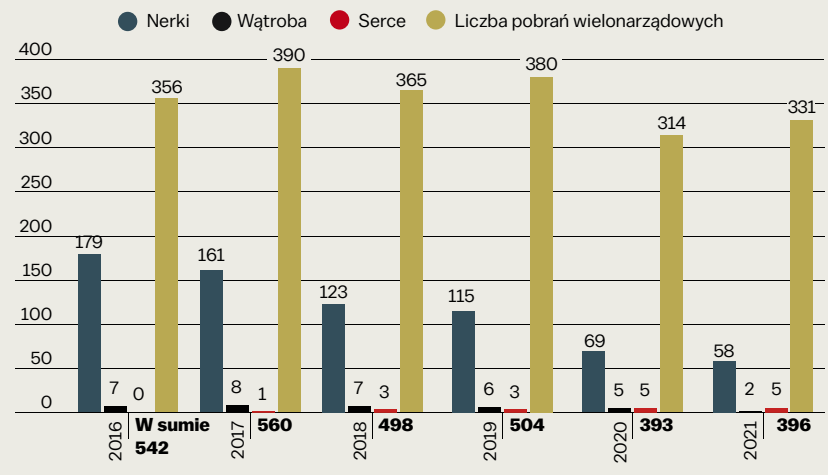
Od dwóch miesięcy do prawie trzech lat

Średni czas oczekiwania na przeszczep nerki w dniach, stan na 31.12.2021



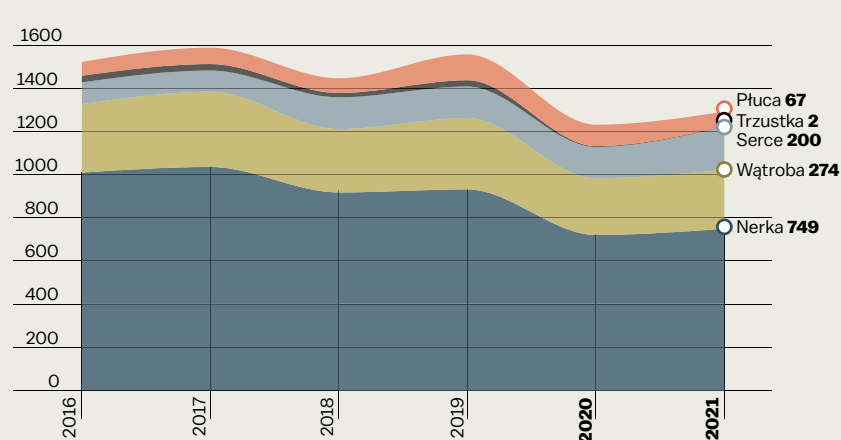
Bez dawców nie byłoby przeszczepów

Pobrania narządów w latach 2016-21



W transplantologii też widać pandemię

Narządy przeszczepione od zmarłych i żywych dawców w latach 2016-21



© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁA: POLTRANSPLANT BIULETYN 2022, NIK

mii COVID-19, podczas której wiele oddziałów szpitalnych musiało przystosować się do przyjęcia pacjentów z koronawirusem, zabiegi były odwoływane, a jednostki pobierały mniejszą liczbę narządów.

Jednak sumaryczna liczba transplantacji w Polsce zaczęła maleć już przed pandemią. Według NIK jedną z przyczyn takiej sytuacji był fakt, że do 2021 roku w Polsce obowiązywały wyceny usług transplantacyjnych ustalone w 2013 roku – ich stawki przez 8 lat nie zostały zmienione. Oznacza to, że szpitale ponosiły w związku z zabiegami wyższe koszty od tych oszacowanych w roku 2013 i same nadwyżkę tę musiały pokrywać.

Z badania Kantar przeprowadzonego wśród tzw. koordynatorów transplantacyjnych jeszcze przed wybuchem pandemii wynikało, że głównymi barierami w podejmowaniu procesu zgłaszania narządów były niedobory personelu w szpitalach, zbyt niskie wyceny czynności związanych z opieką nad dawcą czy brak wsparcia psychologicznego do rozmów z bliskimi potencjalnego dawcy.

Z sercem jest lepiej

Mimo problemów systemowych i niewielkiej liczby odpowiednich dawców są transplantacje, których liczba w ostatnich latach nie spada. Przeszczepy serca osobom z wadami nabytymi lub wrodzonymi wykonuje się w kraju od 1985 roku. W 2022 roku zrealizowano ich aż 173, w roku 2021 – 200, wcześniej po blisko 150.

Każdy z nas może dać coś od siebie

Liczba udanych transplantacji oraz zidentyfikowanych potencjalnych dawców uzależniona jest od sposobu funkcjonowania krajowego programu rozwoju medycyny transplantacyjnej, ale uwarunkowana jest też wieloma innymi niezwykle ważnymi czynnikami. – Proces rozpoznania dawcy i koordynacji transplantacji jest bardzo skomplikowany – tłumaczy dr Zygmunt Kaliciński z Fundacji dla Transplantacji, kardiochirurg z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. – Dodatkowo, mimo iż w Polsce teoretycznie każda osoba (jeśli nie zgłosiła za życia sprzeciwu) po śmierci staje się potencjalnym dawcą, to część pobrań narządów blokują rodziny zmarłych. Staramy się uświadomić ludzi, że decyzję o chęci zostania po śmierci dawcą warto podjąć już dziś. Należy też koniecznie poinformować o niej bliskich. Muszą znać nasze poglądy, by później je uszanować – wyjaśniał.

Prócz dawców w Polsce brakuje też urzędników, które pozwoliloby na długotrwały, bezpieczny transport narządów od dawcy do biorcy. Jak dotąd transport odbywa się po prostu w lodzie, a przechowywane w ten sposób wycięte serce musi zostać przeszczepione w ciągu zaledwie czterech godzin od momentu pobrania. Członkowie Fundacji dla Transplantacji zbierają fundusze na aparaturę OCS Heart, która pozwoli zachować narządy w odpowiednim stanie przez nawet 12 godzin, a co za tym idzie – transportować je z większych odległości czy przeszczepić je pacjentom wymagającym długotrwałych, skomplikowanych, nieraz wielonarządowych operacji. Część z nich stanowią dzieci ze skomplikowanymi wrodzonymi wadami serca. Każdy z nas może wesprzeć Fundację i przyczynić się do zwiększenia ich szans na spokojną przyszłość. Szczegóły na temat zbiórki i aparatury można przeczytać pod linkiem dlatransplantacji.pl/12h/. Zapraszamy do włączenia się do akcji. ●

Syndyk masy upadłości Europejskiego Konsorcjum Kolejowego WAGON sp. z o.o.
KRS: 0000216837 w postępowaniu upadłościowym prowadzonym przed
Sądem Rejonowym w Kaliszu V Wydział Gospodarczy pod sygn. akt V GUP 46/20

informuje,

że w ramach likwidacji majątku wchodzące w skład masy upadłości upadłej spółki informuje o zamiarze sprzedaży pakietu wierzytelności o wartości nominalnej 1.514.312,01 zł.

Wszystkie osoby zainteresowane nabyciem wierzytelności przysługujących Europejskiemu Konsorcjum Kolejowego „Wagon” sp. z o.o. w upadłości proszone są o bezpośredni kontakt z Biurem Syndyka pod adresem mailowym ekk@c-l-a.pl, adresem do korespondencji ul. Przędzalnica 16, 66-400 Gorzów Wielkopolski, oraz nr tel. **607 271 702**.

Po ustaleniu z Syndykiem indywidualnego terminu możliwe będzie uzyskanie szczegółowych informacji o wierzytelnościach mających być przedmiotem sprzedaży.

34232090

OGŁOSZENIE O ZAMIARZE WYWŁASZCZENIA NIERUCHOMOŚCI

Na podstawie art. 113 ust. 5 i 6, art. 114 ust. 3 i 4 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (tekst jednolity Dz. U. z 2021 r., poz. 1899 ze zm.)

Starosta Poznański

zawiadamia o zamiarze wszczęcia postępowania wywłaszczeniowego w celu pozbawienia prawa własności nieruchomości gruntowej położonej w Suchym Lesie (ulice Zielna i Różana), oznaczonej w ewidencji gruntów: obręb Suchy Las, arkusz mapy 27, działki nr: 801/1 o powierzchni 0,0158 ha, 803/4 o powierzchni 0,0210 ha i 805/5 o powierzchni 0,0468 ha, zapisanej w księdze wieczystej KW nr PO1P/00017379/3, której stan prawny jest nieuregulowany (dotychczasowy właściciel, zgodnie z zapisem działu II ww. księgi wieczystej, to Pan Stanisław Zazula).

Jeżeli w terminie 2 miesięcy od dnia niniejszego ogłoszenia do Wydziału Nieruchomości Starostwa Powiatowego w Poznaniu nie zgłoszą się osoby, którym przysługują prawa rzeczowe do opisaney nieruchomości, zostanie wszczęte postępowanie wywłaszczeniowe.

34231835

Szczecin, dnia 30 stycznia 2023r.

WOPN.6320.2.2023.DM

OBWIESZCZENIE

Na podstawie art. 28 ust. 9 ustawy z dnia 16 kwietnia 2014 r. o ochronie przyrody (Dz. U. z 2022 r. poz. 916 z późn. zm.) oraz art. 39 ustawy z dnia 3 października 2008 r. o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko (Dz. U. z 2022 r., poz. 1029 z późn. zm.), Regionalny Dyrektor Ochrony Środowiska w Szczecinie zawiadamia o przystąpieniu do sporządzenia zmiany zarządzenia Regionalnego Dyrektora Ochrony Środowiska w Poznaniu i Regionalnego Dyrektora Ochrony Środowiska w Szczecinie z dnia 21 kwietnia 2015 r. w sprawie ustanowienia planu zadań ochronnych dla obszaru Natura 2000 Puszcza nad Gwdą PLB300012 (Dz. Urz. Woj. Wielkopolskiego poz. 2773 z późn. zm., Dz. Urz. Woj. Zachodniopomorskiego poz. 1522 z późn. zm.), sporządzeniu projektu dokumentu oraz rozpoczęciu konsultacji społecznych ww. zmiany zarządzenia. Z projektem zmiany ww. zarządzenia oraz z uzasadnieniem można się zapoznać w siedzibie Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Szczecinie przy ul. Teofila Firlika 20, 71-637 Szczecin, w godzinach 8.00 – 15.00, a także na stronie internetowej Biuletynu Informacji Publicznej Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Poznaniu <https://www.gov.pl/web/rdos-poznan/bip3> oraz Biuletynu Informacji Publicznej Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Szczecinie <https://www.gov.pl/web/rdos-szczecin/bip> w zakładce „Obwieszczenia i zawiadomienia” Wszyscy zainteresowani mogą składać uwagi i wnioski do dnia 24 lutego 2023 r., w formie pisemnej, ustnej, do protokołu lub za pomocą środków komunikacji elektronicznej bez konieczności opatrywania ich bezpiecznym podpisem elektronicznym, o którym mowa w ustawie z dnia 5 września 2016 r. o usługach zaufania oraz identyfikacji elektronicznej (Dz. U. z 2021 r. poz. 1797) – na adres lub w siedzibie Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Szczecinie przy ul. Teofila Firlika 20, 71-637 Szczecin; e-mail: sekretariat@szczecin.rdos.gov.pl. Rozpatrzenie wszystkich uwag i wniosków zawarte zostanie w treści uzasadnienia do zatwierdzonego zarządzenia Regionalnego Dyrektora Ochrony Środowiska w Poznaniu i Regionalnego Dyrektora Ochrony Środowiska w Szczecinie, dlatego też nie będą udzielane żadne inne indywidualne odpowiedzi w formie pisemnej.

Regionalny Dyrektor Ochrony Środowiska w Szczecinie
Aleksandra Stodulna

34231874

WOJEWODA ŚWIĘTOKRZYSKI

Znak: SPN.III.7821.1.13.2022

Kielce, dnia 25-01-2023

OBWIESZCZENIE

Na podstawie art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (t.j. Dz. U. z 2022 r., poz. 2000 ze zm.) – zwanej dalej Kpa oraz art. 11f ust. 3 – 5 w związku z art. 11f ust. 6 ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (t.j. Dz. U. z 2023 r., poz. 162) – zwanej dalej specustawą drogową

WOJEWODA ŚWIĘTOKRZYSKI

zawiadamia, że w dniu 25.01.2023 r. wydał decyzję, którą uchylił w części i w tym zakresie orzekł co do istoty sprawy, zaś w pozostałej części utrzymał w mocy decyzję Nr 27/2022 Starosty Kieleckiego z dnia 03.10.2022 r., znak: B-IV.672.21.2022, o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej w ramach zadania pn.: „Budowa drogi gminnej na działkach nr ewid.: 1063, 1062/1 obręb 0001 Pierzchnica”.

Zgodnie z art. 11f ust. 3 specustawy drogowej, w związku z art. 49 Kpa zawiadomienie stron postępowania uważa się za dokonane po upływie czternastu dni od dnia publicznego ogłoszenia. Publiczne ogłoszenie obwieszczenia następuje poprzez: publikację w prasie lokalnej, tj. w „Gazecie Wyborczej”, wywieszenie na tablicach ogłoszeń i zamieszczenie w urzędowym publikatorze teleinformatycznym - Biuletynie Informacji Publicznej urzędów: Świętokrzyskiego Urzędu Wojewódzkiego w Kielcach, Starostwa Powiatowego w Kielcach oraz Urzędu Miasta i Gminy Pierzchnica.

Strony z decyzją mogą zapoznać się w Wydziale Skarbu Państwa i Nieruchomości Świętokrzyskiego Urzędu Wojewódzkiego w Kielcach, al. IX Wieków Kielc 3, budynek A, VIII piętro, pok. 810, od poniedziałku do piątku w godzinach: 7:30 – 15:30 oraz na stronie internetowej - Biuletynie Informacji Publicznej Świętokrzyskiego Urzędu Wojewódzkiego w Kielcach, w zakładce Obwieszczenia. Stronami są osoby legitymujące się tytułem prawnym do nieruchomości objętych decyzją Nr 27/2022 Starosty Kieleckiego z dnia 03.10.2022 r., znak: B-IV.672.21.2022. Zapoznanie z treścią decyzji nie jest obowiązkowe.

Od decyzji, o której mowa wyżej, stronom służy prawo wniesienia skargi do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Kielcach, ul. Prosta 10, 25-366 Kielce, za pośrednictwem Wojewody Świętokrzyskiego, w terminie 30 dni od dnia zawiadomienia stron w sposób określony wyżej.

34231936

**Wspomnij
bliskich
w wyjątkowy
sposób**

Stwórz
miejsce pamięci
na

34232242

Syndyk masy upadłości – Przedsiębiorstwa Produkcji Handlu i Usług „REMPOL-2” Czaplicka Sp. j. w upadłości z siedzibą w Wolsztynie (V GUP 58/21) ogłasza II przetarg pisemny otwarty na sprzedaż zorganizowanej części przedsiębiorstwa, na którą składają się łącznie:

1. użytkowanie wieczyste nieruchomości zabudowanej budynkiem hali produkcyjnej w granicach działki oznaczonej nr ewid. 48/48 w Międzyrzeczu o pow. 4.153 m², woj. lubuskie, KW nr GW1M/00049779/6, szczegółowo opisanie w operacie szacunkowym z dnia 29.05.2021 r. sporządzonym przez rzeczoznawcę Janusza Mojsiewicza,
2. ruchomości znajdujące się w ewidencji przedsiębiorstwa, wyszczególnione w poz. 1-38 oraz pkt. II wyceny ruchomości - środków trwałych z dnia 28.06.2021 r., sporządzonej przez rzeczoznawcę Piotra Pałasza (wykaz ruchomości do wglądu w Kancelarii Syndyka oraz w V Wydziale Gospodarczym Sądu Rejonowego w Gorzowie Wlkp.)

Cena wywoławcza: 2.041.676,20 zł netto (dwa miliony czterdzieści jeden tysięcy sześćset siedemdziesiąt sześć 20/100)

Termin przetargu: 30.03.2023 r. godz. 10:00

Termin składania ofert: do dnia 24.03.2023 r. (decyduje data wpływu)

Termin wpłaty wadium: 24.03.2023 r. (liczy się data wpływu środków na rachunek masy upadłości)

Miejsce przetargu: Sąd Rejonowy w Gorzowie Wlkp., V Wydział Gospodarczy, ul. Chopina 52 bl. 15, sala 3

Przedmiot przetargu można oglądać po uzgodnieniu z syndykiem.

Szczegółowe informacje uzyskać można u syndyka pod numerem telefonu: +48 509 309 989 lub drogą poczty elektronicznej n.staszkievicz@wroblewski-adwokat.pl

Operat szacunkowy i regulamin przetargu udostępnione będą przez syndyka na żądanie zainteresowanego. Pełen tekst regulaminu przetargu dostępny jest w sekretariacie Sekcji Upadłościowej Wydziału V Gospodarczego Sądu Rejonowego w Gorzowie Wlkp. przy ul. Chopina 52 bl. 15.

34231996

Przed Sądem Rejonowym Gdańsk-Północ w Gdańsku w Wydziale XIII Cywilnym pod sygn. akt XIII Ns 490/22 toczy się postępowanie z wniosku **Spółdzielczej Kasy Oszczędnościowo Kredytowej im. Stefczyka w Gdyni** o stwierdzenie nabycia spadku po **Grzegorz Andrzej Bujnarowski**, urodzonym dnia 30 listopada 1959 r. w Gdańsku, zmarłym dnia 29 września 2014 r. w Gdańsku, ostatnio stale zamieszkałym w Gdańsku przy ul. Wyzwolenia 29B/3.

Sąd wzywa spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym Gdańsk-Północ w Gdańsku i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

34232075

Panu

Marcinowi Węglowskiemu

Członkowi Zarządu,

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Teścia

składają

*Zarząd oraz Koleżanki i Koledzy
Budimex SA*

www.nekrologiwyborcza.pl/34231972

Z głębokim smutkiem zawiadamiamy, że 22 stycznia 2023 roku zmarł

*Prof. dr hab. inż.
Leonard Runkiewicz*

(1939–2023)

Członek Honorowy i wybitny działacz Polskiego Związku Inżynierów i Techników Budownictwa, sekretarz generalny i członek Zarządu Głównego PZITB, wieloletni przewodniczący oraz honorowy przewodniczący Komitetu Rzeczoznawstwa Budowlanego, wiceprzewodniczący Rady Programowej Czasopism i Wydawnictw, członek Komitetu Nauki PZITB.

Odnaczony Krzyżem Kawalerskim i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Złotym Krzyżem Zasługi. Za wybitne osiągnięcia twórcze uhonorowany prestiżową nagrodą PZITB im. prof. Wacława Żenczykowskiego.

Odszedł od nas wybitny naukowiec, autorytet i ceniony ekspert w zakresie konstrukcji budowlanych, wspaniały nauczyciel akademicki, wychowawca młodzieży i przyjaciel licznej kadry naukowej. Człowiek prawy, o wielkiej mądrości i głębokiej wiedzy, niezawodny Kolega oraz Przyjaciel.

Pozostanie w naszej wdzięcznej pamięci.

Rodzinie Zmarłego

składamy wyrazy głębokiego współczucia.

*Przewodnicząca PZITB
Koleżanki i Koledzy*

www.nekrologiwyborcza.pl/34231890

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że w dniu 25 stycznia 2023 roku zmarła

*Pani prof. dr hab. n. med.
Gayane Martirosian*

Pani Profesor była cenionym wykładowcą akademickim, autorką licznych publikacji naukowych, wieloletnim członkiem Polskiego Towarzystwa Mikrobiologów, a przede wszystkim wspaniałym Człowiekiem.

Pani Profesor swoją karierę naukową rozpoczęła na Yerevan State Medical University w Erewaniu, Armenia. Po przyjeździe do Polski związana była z Katedrą i Zakładem Mikrobiologii oraz Zakładem Histologii i Embriologii Akademii Medycznej w Warszawie (obecnie Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego). Przez ponad 20 lat kierowała Katedrą i Zakładem Mikrobiologii Lekarskiej Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach.

Z wielkim smutkiem żegnamy naszą koleżankę serdeczną Przyjaciółkę wielu z nas.

Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Mikrobiologów

www.nekrologiwyborcza.pl/34232015

**W KAŻDY WTOREK
Z „WYBORCZĄ”**

MÓJBIZNES

34232244

General Petr Pavel nowym prezydentem Czech

Czechy mają nowego, progresywnego prezydenta, który opowiada się za wprowadzeniem euro i większą pomocą dla Ukrainy. Zdecydowanie pokonał Andreja Babisza zarzucającego mu, że chce wciągnąć kraj w wojnę.

Michał Kokot

W piątkowo-sobotniej drugiej turze wyborów prezydenckich Petr Pavel otrzymał ponad 58 proc. głosów, jego konkurent Andrej Babisz – 41,6 proc. Frekwencja wyniosła 70,2 proc.

– Te wybory wygrała prawda, szacunek, godność i pokora – powiedział w pierwszy przemówieniu nowy czeski prezydent Petr Pavel. – Rozumiem, że wielu może się czuć rozczarowanych, że ich faworyt nie wygrał. Jednak ja nie postrzegam w kraju wygranych ani przegranych. W tych wyborach dostrzegam wartości.

– Jestem przekonany, że wartości, takie jak prawda, szacunek, godność i pokora, podziela większość z nas. Zdecydowanie warto uczynić je częścią również naszego życia i sprawić, by powróciły na Zamek [Praski] i do naszej polityki – mówił Pavel, czyniąc czytelną aluzję do odchodzącego prezydenta Miloša Zemana.

Jednocześnie tuż po ogłoszeniu wyników zapowiedział, że przyjmie zaproszenie Zemana, który „chce udzielić mu rad”. Pavel zarazem powiedział, że „nie zamierza iść śladami” odchodzącej głowy państwa.

Z gratulacjami nowemu prezydentowi Czech pospieszyła Zuzana Čaputová, prezydentka Słowacji, i ukraiński prezydent Wołodymyr Zełenski.

– Gratulacje dla Petra Pavla. To trzecia z rzędu porażka Andreja Babisza, która dla niego może oznaczać rozstanie się z polityką – stwierdził również czeski premier Petr Fiala.

Sondaże prognozowały od początku zwycięstwo generała Pavla, emerytowanego wojskowego, który stał na czele czeskiej armii.



• Petr Pavel przyjmuje gratulacje od swoich zwolenników FOT. PETR DAVID JOSEK / AP

Bukmacherzy byli jego wygranej tak pewni, że dawali dziesięć koron za każdą postawioną na zwycięstwo Andreja Babisza.

– Mimo wszystko skala tego zwycięstwa jest zaskakująca – mówi „Wyborczej” Petr Just, politolog z Uniwersytetu Metropolitarnego w Pradze. – Wygląda na to, że dawny podział pomiędzy miastem i wsią już nie istnieje. Jego zwycięstwo idzie na przekór podziałom społecznym i ekonomicznym – zaznacza Just.

Babisz zdecydowanie jednak wygrał w najbardziej biedniejszych regionach Czech: na północy w Ústí nad Labem i na północnych Morawach, graniczących ze Śląskiem.

Babisz: Te wybory to sąd nad rządem

– Będę prezydentem, który będzie sprawował swój urząd z godnością – zapewniał kilka dni temu na ostatnim odcinku kampanii Petr Pavel. – Nie zamierzam malować zamków na piasku, lecz przedstawiać rzeczywistość taką, jaką jest.

Obydwa zdania odnoszą się zarówno do odchodzącego prezydenta Miloša Zemana, który był oskarżany wielokrotnie o przekraczanie swoich kompetencji i wszczynanie politycznych awantur, jak i Andreja Babisza, któremu krytycy powszechnie zarzucają populizm. Obaj politycy byli również ze sobą długo politycznie związani.

Babisz mówił, że wybory to plebiscyt, w którym Czesi wypowiadają się w sprawie poparcia obecnego, centroprawicowego rządu. – Ludzie powinni mnie wspierać, jeśli mają poczucie, że wiedzie im się źle – zachęcał. Przekonywał też, że Pavel jest kandydatem rządu, dlatego każdy głos oddany na Babisza jest wyrażeniem nieufności wobec rządzących (tracących w Czechach popularność ze względu na wzrost kosztów życia).

Pavel zbliży się z Polską?

Pavel zajmował się głównie obalaniem twierdzeń swojego konkurenta. Tłumaczył, że nie jest związany ani z rządem, ani z żadną partią polityczną, lecz jest kandydatem niezależnym. Mówił, że zamierza wyjaśniać ludziom, dlaczego należy wspierać Ukrainę w walce z Rosją.

W swojej antywojennej retoryce Babisz zaś zapędził się tak bardzo, że podczas jednej z debat telewizyjnych oświadczył, iż nie zamierza przyjąć Polsce z pomocą w ramach zobowiązania NATO, nawet jeśli ta zostanie napadnięta (później wycofał się z tych słów). Szansę wykorzystał wtedy Pavel, który powie-

dział, że Czesi ruszą Polakom na pomoc. Zapowiedział też, że gdy zostanie prezydentem, druga oficjalna wizyta będzie wyjazdem do Polski (w pierwszą czescy prezydenci jadą zawsze na Słowację).

Zapowiedź ta odczytywana jest jako chęć nadania stosunkom z Polską dodatkowego znaczenia. Niektórzy komentatorzy w Czechach uważają, że Pavel będzie forsować wspólne projekty wojskowe i gospodarcze, jak np. budowę gazociągu pomiędzy Czechami i Polską.

Ale nie wszyscy się z nią zgadzają. – Zwykle każdy z prezydentów na drugą wizytę wybiera sąsiedni kraj. Nie przywiązywałbym większej wagi do tego, że prezydent Pavel będzie chciał odwiedzić Polskę – mówi politolog Petr Just.

Najgorsza kampania w historii

Rekordowa, ponad 70-proc. frekwencja związana była z niezwykle zacięłą kampanią prowadzoną przez obydwu kandydatów. O studzenie emocji apelował nawet Václav Klaus, były prezydent, który ostrzegał, by „Czechy z kampanii nie wyszły podzielone”.

– To była bardzo nieprzyjemna kampania, być może najgorsza w historii Republiki Czech – podsumował premier Fiala.

Na emocje stawiał zwłaszcza Babisz. W kampanii przedstawiał swojego konkurenta jako podżegacza wojennego. Jego sztab przekonywał, że wygrana Pavla, byłego generała, który opowiada się za większą pomocą dla Ukrainy, oznaczać będzie wciągnięcie Czech w wojnę. Z powodu rozpowszechnianych kłamstw i niezwykle brutalnej kampanii czeskie stowarzyszenie PR-owców wykluczyło ze swoich szeregów Marka Prchala, członka sztabu Babisza, który dotąd kierował każdą z jego kampanii.

Babisz na razie nie zapowiedział, jakie ma dalsze plany polityczne. Jego partia ANO jest liderem sondaży i cieszy się poparciem ok. 30 proc. Czechów. Jednak tuż po ogłoszeniu wyników pogratulował Pavlovi, jednocześnie dodając, że ze względu na liczbę głosów, jaką on sam zdobył, nie będzie mógł go ignorować.

– Babisz, choć przegrał, zdołał poszerzyć bazę wyborców. Z pewnością nie odejdzie z polityki i będzie chciał powalczyć o fotel premiera w wyborach w 2025 r. – uważa Petr Just. ●

Krwawy zamach w Izraelu

21-letni Palestyńczyk zastrzelił w piątek wieczorem siedem osób pod synagogą w Jerozolimie.

Alkam Khairi z okupowanej części Jerozolimy poczekał, aż zakończą się szabatowe modlitwy, po czym otworzył ogień do ludzi opuszczających synagogę. Zabił siedem osób. Następnie uciekł samochodem z miejsca zdarzenia w kierunku palestyńskiej dzielnicy Beit Hanina, gdzie około pięciu minut później natknął się na wezwanych na miejsce funkcjonariuszy. Policja powiedziała, że Khairi wyszedł z samochodu i otworzył ogień do mundurowych, usiłując uciec pieszo. Został zastrzelony.

Komisarz policji Kobi Szabtai powiedział, że atak był jednym z naj-

gorszych, jakie Izrael widział od lat: – Terrorysta strzelał do każdego, kogo napotkał. Wysiadł z samochodu i wpadł w morderczy szal.

Izraelski Kanał 12 poinformował, że zabójca najpierw zaatakował starszą kobietę i mężczyznę na motocyklu, zanim zbliżył się do synagogi. Do ataku doszło w Międzynarodowy Dzień Pamięci o Holokauście.

Policja uważa, że napastnik działał sam. Mimo to aresztowano 42 osoby, w tym wielu krewnych lub znajomych terrorysty.

Żadna organizacja nie przyznała się do organizacji zamachu, chociaż niektórzy Palestyńczycy na Zachodnim Brzegu i w Strefie Gazy uczcili go wieciami i rozdawaniem słodczy. Rzecznik Hamasu, zbrojnego ruchu palestyńskiego kontrolującego Strefę Gazy, powiedział, że

zamach był powiązany z sytuacją w Dżeninie.

Piątkowa strzelanina miała miejsce dzień po najbardziej śmiertelnej akcji izraelskiej armii na okupowanym Zachodnim Brzegu od dwóch dekad. W czwartek rano izraelscy żołnierze zaatakowali bojowników Islamskiego Dżihadu w obozie dla uchodźców w Dżeninie. Zginęło wtedy dziewięciu Palestyńczyków – a od początku roku już 32.

Armia Izraela stwierdziła, że czwartkowa operacja w obozie dla uchodźców była konieczna, aby udaremnąć plany ataku lokalnej komórki terrorystycznej Islamskiego Dżihadu. Grupa ta miała mieć przygotowane materiały wybuchowe i broń palną.

W odwiecie w piątek rano rakietę wystrzeloną ze Strefy Gazy pole-

ciały na Izrael. Nieraz kończyło się to poważniejszą i dłuższą wymianą ciosów. Wojsko poinformowało w sobotę, że wzmacnia swoje siły na Zachodnim Brzegu.

Zwracając się do dziennikarzy w centrali izraelskiej policji, premier Benjamin Netanjahu powie-

Policja uważa, że napastnik działał sam. Mimo to aresztowano 42 osoby, w tym wielu krewnych lub znajomych terrorysty

dział, że Izrael podejmie natychmiastowe działania z determinacją i opanowaniem. Wezwał Izraelczyków, aby nie wymierzali sprawiedliwości na własną rękę.

– Nasze serca są z rodzinami. Pochwalam policjantów, którzy tak szybko podjęli działania – powiedział. – Zdecydowaliśmy się na kilka natychmiastowych działań, które rozpoczną się dziś wieczorem.

Piątkowa strzelanina była najbardziej śmiertelnym atakiem terrorystycznym w Izraelu od 2011 roku, kiedy terroryści przedostali się z egipskiego półwyspu Synaj, zabijając ośmiu Izraelczyków. Wcześniej, w 2008 roku, Palestyńczyk ze wschodniej Jerozolimy zabił ośmiu izraelskich studentów w stołecznej jesiwi. ●

Robert Stefanicki

Inoziemcew prognozuje

Jaka będzie Rosja w 2030 roku?

Dziesięć lat temu poproszono mnie o przedstawienie wizji Rosji w 2030 r.

To były czasy wielkich nadziei w naszym kraju, potężnych protestów w Moskwie i innych miastach przeciw powrotowi Putina na Kreml, czasy, kiedy jego popularność spadła do rekordowo niskiego poziomu

Inoziemcew

Mimo to moja napisana wspólnie z Julią Żuczkową prognoza mówiła, że w rok 2030 Rosja wejdzie w stanie ekonomicznego upadku i kryzysu ekonomicznego. Kraj zacznie rozumieć, jaki spadek zostawił jej niedawno zmarły (zakładaliśmy, że do tego czasu rozpocznie się era poputinowska) prezydent i jakie są jego perspektywy. A wtedy członkowie rządzącej bandy zaczną ostrą walkę o przywództwo po śmierci swego mafijnego bossa.

Wtedy oczywiście nie zakładaliśmy, że Kreml rozpocznie wojnę w Ukrainie i będzie zabijać setki tysięcy ludzi, zniszczy wypracowane jeszcze w czasach ZSRR partnerstwo energetyczne z Europą, doprowadzi do ucieczki z kraju ponad miliona profesjonalistów i przekształci Rosję w terytorium, na którym nie obowiązuje żadne prawo.

Ale teraz, odpowiadając na pytanie, jaki będzie stan kraju w końcu dekady, pozostaję mimo wszystko przy dawnej prognozie.

Rosją w 2030 r. będą rządzić, jeśli nie ci sami, co i dziś ludzie, to przedstawiciele ich kręgu, a więc nosiciele tego samego światopoglądu. Nie oczekiwałbym poważnych zmian kursu polityki zagranicznej i wewnętrznej.

Podstawowym powodem, dla którego trudno się spodziewać zmian, jest to, że ludność Rosji nie przejawia żadnej aktywności obywatelskiej. Pogrom ruchu Aleksieja Nawalnego, zniszczenie opozycji antywojennej, powszechna pokorna gotowość bycia „mobilizowanym” – to wszystko dowodzi, że żaden protest nie jest dla władzy niebezpieczny.

Władza rozdeptała wszelkie najdrobniejsze oznaki sprzeciwu nie mniej dokładnie, jak to się stało w ZSRR w latach 30. ubiegłego wieku, przy czym udało się jej to zrobić znacznie mniej okrutnymi metodami. A to rodzi pewność, że Rosję można wykreślić z mapy jakichkolwiek przemian politycznych.

Pod koniec lat 20. Nawalny pewnie umrze w więzieniu, zachodnie finansowanie opozycji się skończy, aktywni dziś politycy zasymilują się w krajach, w których osiedli, i zapomną o ojczyźnie.

Pewne ryzyko dla władzy jest związane z perspektywami wojny w Ukrainie, której Rosja nie może wygrać, ale i tego ryzyka nie oceniałbym jako bardzo wysokie. Wojna jest przedstawiana jako starcie ze „zbiorowym Zachodem”, trudne i nierówne. Uważam, że Kreml szykuje poddanych do porażki tłumaczonej tym, że kraj za mało sił wkładał w budowę militarnej potęgi, zbyt miękko zwalczał „piątą kolumnę”, zbyt wiele stawiał na współpracę gospodarczą z Zachodem.



• Władimir Putin na spotkaniu ze studentami, 25 stycznia 2023 r.

FOT. MAKSYM MISHIN / AP

Innymi słowy, wyprowadzenie wojsk ze wschodu Ukrainy i dezokupacja Krymu mogą być przedstawiane nie jako klęska polityki Putina, lecz efekt nie dość konsekwentnego wprowadzania jej w życie. A to da podstawy do wzmocnienia reżimu militarno-policyjnego.

Gospodarka ucierpi, ale się nie zawali. Będziemy świadkami dalszej degradacji gospodarki Rosji, której oznaki stały się zauważalne jeszcze w 2014 r. Kraj nie ma i nie będzie miał żadnych źródeł wzrostu ekonomicznego, a stopniowe zmniejszanie się dochodów z eksportu surowców zagwarantuje spadek PKB rządu 2-4 proc. rocznie przez najbliższe dziesięć lat.

W pełni zgadzam się z opinią ekonomisty Oliviera Blancharda, który przewiduje, że do 2030 r. PKB Rosji zmniejszy się o 20 proc.

Ale nie zgadzam się prognozą Kennetha Rogoffa, wedle którego kraj pograży się w nędzy. Rosja jest, było nie było, dużym i dosyć samowystarczalnym krajem, który może dać swym mieszkańcom wszystko, co jest im niezbędne, dzięki produkcji krajowej i importowi z Chin. Takie radykalne wizje zbliżającego się krachu Rosji biorą się moim zdaniem z mylnych przekonań o tym, że Rosjanie konsumują mnóstwo towarów zagranicznych, których brak wywoła szok. A przecież w rzeczywistości korzystający i w pewnym sensie „uzależnieni” od takiego importu to grupa 2-4 mln ludzi, z których większość i tak wyemigruje. Tymczasem otrzymujący średnią płacę mieszkańiec prowincji wcale nie zauważa efektu sankcji.

Rosja w najbliższych latach skieruje swój eksport na Wschód, zmniejszy wydobycie ropy o 12-18 proc., a gazu o 25-30 proc. Jej gospodarka będzie coraz bardziej prymitywna, ale do katastrofy nie dojdzie.

Innym marzeniem, które się nie spełni, jest rozważana w Ukrainie, Polsce i krajach bałtyckich jako „nieunikniona” perspektywa rozpadu Rosji. Ten scenariusz wydaje mi się zupełnie fantastyczny, i to z wielu powodów.

Dziś w Rosji krzepnie reżim policyjny. Etniczni Rosjanie stanowią 75 proc. ludności kraju. A przez ostat-

Marzeniem, które się nie spełni, jest „nieunikniona” perspektywa rozpadu Rosji

nie 100 lat, zauważmy, nie doszło do rozpadu żadnego monoetnicznego kraju, który nie został okupowany (to się stało z Niemcami i Koreą).

Istnieje potencjalne ryzyko wyłączenia się z Rosji niektórych republik etnicznych położonych przy granicach Federacji (Kalmucja, Tuwa, Buriacja, regiony Kaukazu Północnego). Ale one są tak biedne, że ich odpadnięcie byłoby dla państwa tylko korzystne.

Bogate republiki etniczne, czyli Tatarstan, Baszkiria, Komi, są otoczone regionami zamieszkanymi w zdecydowanej większości przez Rosjan i przez to nie miałyby szans na prowadzenie niezależnej, niekontrolowanej przez Rosję działalności gospodarczej.

Z punktu widzenia polityki zagranicznej Rosja pozostanie takim samym agresywnym państwem, jakim jest i dziś. Klęska w Ukrainie pozostanie w świadomości większości Rosjan „katastrofą geopolityczną” nie mniej ważną niż rozpad ZSRR. Rewanżym stanie się ideologią państwową, tym bardziej że Moskwa nigdy nie zgodzi się ani z wypłatą reparacji na rzecz Kijowa, ani z prawomocnością Trybunału Międzynarodowego, który w połowie lat 20. uznał praktycznie całe kierownictwo kraju za zbrodniarzy wojennych. W efekcie wprowadzane od 2014 r. sankcje (jak zapowiadałem jeszcze pięć lat temu) nie zostaną odwołane. A to też wyklucza możliwość zbliżenia się Rosji i „zbiorowego Zachodu”.

Dlatego Moskwa będzie orientować się na Pekin, a relacje między Rosją a Chinami będą budowane na zasadach stosunków wasala z suwerenem.

Prezentując te wszystkie procesy, muszę podkreślić podstawową przyczynę, która czyni je realnymi, czyli komercyjny charakter państwa rosyjskiego.

W czasach po rozpadzie ZSRR (a nie tylko od wstąpienia na tron Putina) w kraju powstała szeroka klasa wielkich właścicieli. Przy tym praktycznie wszyscy oni doszli do swych majątków, działając poza prawem lub zgodnie z bezprawnymi regulami ustanowionymi przy Putinie.

Upadek czy też tylko istotna korekta reżimu sprawi, że nieunikniony stanie się nowy podział własności i aktywów. A to ugodzi w życiowo ważne interesy nie kilkuset rodzin, jak to się stało w późnym ZSRR, lecz co najmniej 3-4 mln ludzi.

Opozycjoniści rosyjscy, mówiąc, że reżim nie ma bazy społecznej, absolutnie mijają się z prawdą. Przy wyborze między pieniędzmi a wartościami, pieniądze bez wątpienia wygrają.

Zwróćmy uwagę choćby na to, ilu oligarchów po wybuchu wojny zostało na Zachodzie (nie więcej niż 10 z 200 figurujących w czołówce rosyjskiej listy „Forbesa”), a ilu grzecznie przybiegło do Rosji, by wiernie służyć władzy.

Korzyści płynące z posiadania Federacji Rosyjskiej jako własności prywatnej nie pozwolą na to, żeby klasa rządząca bez oporu oddała swe pozycję „nawalnym”, uciekając z tonącego statku.

A przecież ci ludzie swych ogromnych majątków nie odziedziczyli, jak arystokraci przed 1917 r. po przodkach, tylko zagarnęli je w ciężkiej, ryzykownej walce na pazury i kły. Są zaprawieni do walki.

Wykorzenienie kliki putinowskiej będzie procesem nie mniej złożonym i trudnym od walki klasowej w latach 1917-23, choć raczej nie tak krwawym.

Tak jak pisaliśmy dziesięć lat temu, podstawowym warunkiem początku przemian w kraju jest koniec ziemskiego życia Putina. Większość z tych, którzy w tym czy innym stopniu decydują w Rosji, uważa go za gwaranta nie tyle wiele razy rozdeptanej i okaleczonej konstytucji, ale także porządku wewnątrz elity władzy i przewidywalnego rozwiązywania powstających w niej przeciwności.

Usunięcie Putina nie przyniosłoby korzyści nikomu w rosyjskiej klasie rządzącej, choćby politolodzy i eksperci zapewniali swoich odbiorców, że jest na odwrót. W przypadku śmierci dyktatora bieg wydarzeń stałby się nieprzewidywalny. Pewne byłoby jedno – odtworzenie reżimu bez jego założyciela nie będzie możliwe, co jest typowe dla wszelkich faszystowskich reżimów typu zachodniego.

Przy tym nie jestem gotów powiedzieć, że zdrowie Putina słabnie. Nawet to, że coraz częściej zasłania się sobowtórami, nie świadczy o niczym innym, jak tylko o jego paranoicznej obawie o własne bezpieczeństwo.

Tak więc powtórzę. Rosja w 2030 r. będzie krajem tylko zaczynającym się żegnać ze spuścizną putinowską i rozumieć, jak wiele przyjdzie mu zapłacić za 30 lat dyktatury petersburskiego idioty sprytnie zainstalowanego na tronie przez ludzi, którzy tylko udawali, że kochają demokrację. ●

Władysław Inoziemcew

Tłum. **Wacław Radziwinowicz**

Władysław Inoziemcew

• rosyjski ekonomista i politolog, dyrektor Ośrodka Badań Społeczeństwa Postindustrialnego, współpracownik m.in. Atlantic Council, Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa w Waszyngtonie i Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu

Ustawa wiatrakowa

Kto umie wsłuchać się w lęki elektoratu, ten wygrywa wybory

Co mówią przeciwnicy wiatraków? Niektórym przeszkadza hałas, inni boją się, że mogą powodować choroby, jeszcze inni obawiają się ich negatywnego wpływu na ptaki. Najgorsze, co można zrobić, to zignorować lub wyśmiać te obawy

Naszkowska

Rządowy projekt liberalizacji ustawy wiatrakowej po miesiącach spędzonych w sejmowej zamrażarce trafił do prac sejmowych i w ekspresowym tempie zmierza do zatwierdzenia przez parlament. Zmierza, choć część koalicji rządzącej, czyli Solidarna Polska, go nie popiera, ale „za” jest opozycja, która jeszcze wcześniej składała własne propozycje zmiany ustawy. Głosów więc do poparcia ustawy wystarczy.

Jak ocenia Konfederacja Lewiatan, „projekt został przygotowany w toku szerokich konsultacji społecznych i jest najbardziej dojrzałym kompromisem wyważającym stanowiska wszystkich zainteresowanych stron – przemysłu, społeczeństwa, ochrony klimatu i polityków opozycji”. Ma doprowadzić do odblokowania lądowej energetyki wiatrowej i wedle danych Lewiatana opowiada się za nim 80 proc. społeczeństwa.

Szerokie konsultacje? Wolne żarty! Na pewno nie z tymi najbardziej zainteresowanymi.

Dlaczego w ogóle są ludzie, którym nowa ustawa się nie podoba? O co tu chodzi? Ktoś z polityków opozycji rzucił leciutko: jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze!

Otóż nie, chodzi o lekceważenie ludzi. O niesłuchanie tych, którzy mają swoje lęki, swoje poglądy, które wcale nie muszą się nam podobać, ale których nie wolno lekceważyć. Chodzi o mieszkańców wsi, bo te wiatraki, o które kłóć się dziś między sobą rządzący, a jeszcze niedawno spierali się z opozycją, dotyczą przecież ludzi mieszkających na obszarach wiejskich. Ludzie w mieście widzą w wiatrakach tylko czystą energię, szansę na przynajmniej częściowe uniezależnienie się od paliw kopalnych. Jednak ludzie na wsi widzą je fizycznie jako pewną budowlę, która wyrosła im w polu codziennego widzenia, budowlę, która może powodować stały dyskomfort. Jest więc zasadnicza różnica między percepcjami.



• Wiatrak FOT. SHUTTERSTOCK

Platforma, PSL, lewica od 2015 roku przegrywają wybory, bo lekceważą głosy wiejskiego elektoratu, nie umiają ich zdobywać i nie słuchają tych wyborców. A PiS, będąc w opozycji, robił to. Kiedy PO z PSL rządziły, to politycy Prawa i Sprawiedliwości jeździli po wsiach, słuchali mieszkańców i rozmawiali z nimi językiem dla nich zrozumiałym. Obiecywali pomoc i rozbrajali obawy tej społeczności. A jedna z tych obaw dotyczyła właśnie stawiania wiatraków.

PiS wygrał wybory w 2015 r. m.in. dzięki temu, że obiecał mieszkańcom wsi likwidację ówczesnej ustawy. Obiecał i dotrzymał słowa. W 2014 na kongresie Prawa i Sprawiedliwości prezes Jarosław Kaczyński powiedział, że wiatraki są przekleństwem polskiej wsi. A kiedy Zjednoczona Prawica zdobyła w Polsce władzę, swoją obietnicę spełniła – w 2016 r. na wniosek grupy posłów PiS błyskawicznie wprowadzono nową ustawę wiatrakową zwaną 10H. Ustawa zezwalała na stawianie wiatraków w odległości od domów nie mniejszej niż 10-krotność wysokości wiatraka (na ogół ok. dwóch kilometrów), zabezpieczała też przed wiatrakami tereny chronione, jak Natura 2000. Nowa ustawa w praktyce zamroziła rozwój energetyki wiatrowej.

Michał Kołodziejczak, szef Agrounii, partii buntu, wszedł do polityki właśnie z powodu wiatraka, który

postawiono mu przed domem. 500 m od domu, 150 m od granicy jego działki. Czyli w odległości, jaką nowa ustawa miałyby dopuszczać (choć w ostatniej chwili poseł Marek Suski w imieniu PiS wniósł poprawkę zwiększającą dystans od domu do 700 m). Otóż Kołodziejczak mówi, że wiatrak szumi, hałasuje, a jego skrzydła, obracając się, rzucają cień na dom. Protestował w gminie, ale nic nie zdziałał, dlatego postanowił sam zostać politykiem, by mieć wpływ na to, co dzieje się w jego okolicy.

Takich Kołodziejczaków, którym wiatraki przeszkadzają, jest na polskiej prowincji mnóstwo. Niektórym wiatraki przeszkadzają wizualnie i akustycznie, niektórzy sądzą, że mogą one powodować jakieś choroby, a jeszcze inni obawiają się ich negatywnego wpływu na przyrodę, ptaki i zwierzęta. Obawy są różne. Najgorsze, co można zrobić, to je wyśmiewać.

PiS, blokując rozwój energetyki wiatrowej, poszedł najkrótszą drogą – nie walczył z uprzedzeniami, nie rozwiewał lęków, nie przekonywał, tylko całkowicie wycofał się z budowy wiatraków. Teraz nastąpił zwrot i premier pisowską ustawę z 2016 r. nazywa wprost jedną z najbardziej restrykcyjnych na świecie i mówi, że czas to wreszcie zmienić, by „uniezależnić się od kolumbijskiego wę-

gla”. Rację oczywiście ma Konfederacja, której liderzy mówią, że rząd jest jak narkoman na głodzie i potrzebuje na gwałt pieniędzy z Unii, by ratować budżet. A odblokowanie ustawy wiatrakowej jest jednym z warunków otrzymania pieniędzy z Brukseli.

Jednak lęk na wsi pozostał, nadal jej mieszkańcy wiatraków nie chcą. A na wsi mieszka 40 proc. polskiego społeczeństwa. Nawet ci, którzy rozumieją potrzebę budowy wiatraków i nie boją się ewentualnych chorób, wcale nie chcą takiego stwora w swojej okolicy. Choćby dlatego, że ładne to nie jest. Nie mają więc nic przeciwko wiatrakom, byle nie w ich miejscowości.

Każdy, kto teraz na rympał, w ekspresowym tempie wprowadza taką ustawę bez poważnych rozmów z mieszkańcami wsi, popełnia poważny błąd. Jest jasne, że gdyby nie dziura budżetowa i konieczność zasilenia jej unijną kasą, PiS by ustawę wiatrakowej nie ruszył. Bo dobrze wie, że wzbudzi ona na wsi ferment, a bez głosów wsi wyborów nie wygra. Dlatego pudruje ustawę, obiecując mieszkańcom jakieś datki – inwestor, stawiając w gminie wiatraki, musi się korzyściami podzielić z mieszkańcami, a na władze gminy zrzucono dogadanie się z mieszkańcami, jaka ostatecznie będzie odległość wiatraka od zabudowań, minimum to 500 metrów (z poprawką Suskiego 700), ale może być przecież większa.

Opozycja ma teraz wielką szansę, by zaprezentować się wsi jako partner do rozmowy, który obawy jej mieszkańców rozumie. Może wytłumaczyć, dlaczego popiera w tej sprawie rząd, który łamie przecież obietnicę z 2015 r. Powinna rozmawiać z tymi, którzy po 2015 wybudowali na terenach wiejskich dom, wierząc, że nikt im pod nosem wiatraka nie postawi, i teraz będą bardzo rozgoryczeni. Co z ich prawami nabytymi? Trzeba ruszyć w teren, panie i panowie, bo na Wiejskiej tych głosów nie zdobędziecie.

Jeśli opozycja nie zareaguje, to być może część mieszkańców wsi zniechęci się do PiS, ale wcale nie przetrzuci głosów na inne partie. ●

Krystyna Naszkowska

JUŻ W SPRZEDAŻY

wysokieobcasy
extra

DUŻO
DOBREGO
CZYTANIA



TEMAT NUMERU:
Grzeszne przyjemności.
Czemu wstydzimy się czegoś, co sprawia nam radość?

Nowa książka Weroniki Murek

POROZMAWIAJMY O DZIEWCZYNKACH

Czy w 2023 r. da się napi-
sać o dziewczynkach coś,
co nie zostało już powie-
dziane dziesiątki razy?
Da się. O ile nazywasz się
Weronika Murek.

Emilia Dłużewska

Ołupio się przyznać, ale mam już dość dziewczynkości. Na moje usprawiedliwienie: w ciągu ostatniej dekady wielu zrobiło wiele, by obrzydzić mi to pojęcie. Dziewczynki, dziewczyny, dziewczuchy i dziewczęta były, rzecz jasna, częścią ludzkości od zarania – nieco wstydliwą, problematyczną, niekiedy żenującą, ale niewątpliwie obecną. Rzadko jednak poddawana tak dogłębnej refleksji jak w drugiej dekadzie XXI w. Kategoria „dziewczynkości” wypączko-
wała we współczesnej kulturze jako alternatywa dla kobiecości – młodsza, bezczelniejsza, mniej poważna. Kobiety zakładały rodziny, dziewczyny – punkowe zespoły. Kobiety broniły praw, dziewczyny miały pomysły. Kobiety padały ofiarą, dziewczyny robiły awantury.

Bycie dziewczyną – niezależnie od wieku – pozwalało choć na chwilę uciec od typowych kobiecych problemów: mniejszych pensji, braku miejsc w przedszkolach i domach opieki, nieściągalnych alimentów, prania, zmywania, wywiadówek. Dziewczynskość stała się tematem rozmów, filmów, spektakli, podcastów i tekstów prasowych. Poręcznym hasztagiem.

I nową, świetną okazją, by coś nam sprzedać. Hasło „girl power” widnieje na sieciówkowych koszulkach szytych za kilka centów przez dziewczynki z Pakistanu; uśmiechnięte modelki głoszą, że „kobiecość ma wiele twarzy, tak jak różnorodne są kolory lakierów do paznokci”. Przynajmniej raz w tygodniu ktoś próbuje przekonać mnie, że kupienie tamponów to czyn rewolucyjny, a moje selfie w brokacie wbije sztylet w samo serce patriarchy.

Wszystko to wystarczy, by nabrać sceptycyzmu. Czy w 2023 r. da się napisać o dziewczynkach coś, co nie zostało już powiedziane dziesiątki razy? A jednak: da się. O ile nazywasz się Weronika Murek.

Weronika Murek



**Dziewczynki.
Kilka esejów
o stawianiu się**

wydawnictwo Czarne



• Weronika Murek w lipcu 2015 r. w Katowicach FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCIA WYBORCZA.PL

ROSÓŁ, KAWA, PAPIEROSY

„Dziewczynki” to druga prozatorska książka Murek. Pierwsza, wydana w 2015 r. „Uprawa roślin południowych metodą Miczurina” była debiutem, jaki zdarza się rzadko. Krótkie, surrealistyczne, pisane oryginalnym językiem opowiadania zachwyciły krytyków: książka została nominowana do Paszportów „Polityki”, Nagrody Literackiej „Gdynia”, znalazła się w finale nagrody Nike. W ciągu kilku miesięcy 26-letnia Murek została nadzieją polskiej literatury.

I niemal natychmiast się z tej roli wypisała. Zamiast jak grzeczna dziewczynka siadać i pisać kolejną książkę, związała się z teatrem. – Miałam poczucie, że jestem w stanie tylko powtarzać ten sam patent. Teatr dawał mi możliwości pracy w różnych miejscach i z różnymi ludźmi – tłumaczyła Agnieszce Sowińskiej w „Dwutygodniku”.

Wydane właśnie eseje też wzięły się z teatru: w 2017 r. reżyserka Gosia Wdowik przygotowała w stołecznym Studio spektakl „Dziewczynki”. Główne role grało w nim pięć wyłonionych w warsztatach dziewczynek w wieku od 9 do 14 lat. Pracowała z nimi dramaturżka Joanna Ostrowska, choreografka Marta Ziólek i Weronika Murek, która napisała tekst spektaklu. A po jego premierze nie porzuciła tematu. Kontynuacją tej pracy był zbiór esejów krążących wokół społecznych oczekiwań wobec dziewczynek, ich miejsca w popkulturze i historii, wreszcie – doświadczenia stawiania się dziewczynką.

„Stawianie się” jest tu pojęciem kluczowym. Murek nie traktuje dziewczynek jak okazów, które można złapać, przyszpilić, zważyć, obmierzyć i zdefiniować. Nie rości

*Dziewczynskość stała się
tematem rozmów, filmów,
spektakli, podcastów
i tekstów prasowych.
Poręcznym hasztagiem*

sobie pretensji do naukowych definicji ani uniwersalnych prawd. Zamiast tego chwytą momenty, w których dziewczęcość objawia się w specyficznych sytuacjach, napięciach, rekwiizytach: w 54 kręconych codziennie rano loczkach Shirley Temple i war-koczykach Judy Garland, która, by zachować dziewczęcy wdzięk i lekkość na planie „Czarnoksiężnika z Oz”, żywiła się rosółem, czarną kawą i papierosami; w uśmiechu amerykańskich gimnastyczek i reklamach podpasek z białymi tenisowymi spódniczkami; w pamiętnikach i złotych myślach; w sekretach zdradzanych w szkolnej toalecie i w kieszeni wypchanej drobiazgami – „przenośnej wersji własnego pokoju”.

Murek porusza się po świecie dziewczynek z lekkością i erudycją, która pozwala jej płynnie przechodzić od dziennika Anny Frank do „szcząjącej jak koń” Marilyn Monroe, od międzywojennych książeczek z pedagogicznym przesłaniem do „Czarodziejki z Księżyca”. Jest błyskotliwa, bywa ironiczna – choć to ironia podszyta empatią.

„O tym, ile ma lat, Shirley Temple dowiedziała się jako ostatnia; przepraszam. Wytwórnia filmowa zapewniła jej na planie wózek dla lalek, skakankę, książeczkę z obrazkami, kredki oraz kamyki do gry

w ciupki, ale zabrała za to rok życia” – pisze. Albo: „Na pierwszy rzut oka wygląda jak tysiąc innych dziewczęcych twarzy: ma zamknięte oczy, ale można śmiało założyć, że gdyby były otwarte, patrzyłyby ufnie przed siebie. Poza tym: lekko się uśmiecha. Byłaby wesoła, gdyby nie to, że nie żyje”.

JAK SIĘ WYMKNAĆ
DZIEWCZYŃSKOŚCI

To, co w „Dziewczynkach” najlepsze, to jednak nie erudycja i błyskotliwość Murek (ani nawet nie jej ironia), ale perspektywa, którą proponuje. Pisarka nie wpada w powszechną pułapkę binarności, każącej widzieć w dziewczynkach albo niewinność i słabość, albo walczącą siłę albo ofiary patriarchy: bezbronne, strofowane, ustawiane, kontrolowane, albo bohaterki emancypacyjnych czytanek: energiczne, śmiałe, rywalizujące z chłopcami na bezczelność i poobijane kolana.

Zamiast tego pokazuje nam dziewczynskość w innym świetle: jako umiejętność ciągłego przekształcania się, dopasowywania, zmieniania. Społeczną konwencję na tyle szkicową i niedookreśloną, że zostawiającą pole do własnych poszukiwań.

Być dziewczynką to być stale strofowaną, ustawianą, regulowaną, ale też nieustannie się tym regulacjom wymykać. Być typem, fantazją, a nie prawdziwą osobą, ale dzięki temu móc grać tożsamościami, przymierzać je, testować. Płynąć na fali odniesień, stereotypów, oczekiwań, popkulturowych klisz, różowych wstążeczek, obrazków z Hello Kitty i banalnych sekretów jak surferka, która ginie w załamaniu wody, by po chwili wyłonić się z oceanicznej piany nietknięta. I płynąć dalej. ●

Wojciech
Kuczok

Brawo Kulesza, wreszcie koniec piłkarskich heheszków

Santos to dobre nazwisko. Prezes Cezary Kulesza dał Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek – trener co prawda nie z Polski, ale przecież psychopatrioci nie będą kwestionować oddania kadry narodowej pod opiekę świętym.

CV nowego selekcjonera też budzi respekt; nie musiał na dzień dobry zapewniać, że kocha Jana Pawła II i pierogi. To jakiś szalony paradoks: dopiero podlaski swojak, król disco polo, najbardziej jaskrawe zaprzeczenie poprzednika kosmopolity przy sterze PZPN odważył się powiedzieć: sprawdzam. Bierzemy trenera z najwyższej półki, mistrza Europy i Ligi Narodów, pod którego wodzą kilka tygodni temu Portugalia rozegrała bodaj najlepszy swój mundialowy mecz w historii (6:1 ze Szwajcarią), i teraz wreszcie dowiemy się, czy przyczajone możliwości polskiej piłki były tłamszone przez trenerów partaczy, czy też po prostu nic się nie czaiło, a Michniewicz wycisnął w Katarze wynik nad stan. Światowiec Boniek wymyślił nam Nawalkę, Brzeczka i obcokrajowca Souse na alibi, przasny Kulesza z awaryjnym trenerem na pokładzie opuszczonej łajby zdobył najlepszy wynik od trzydziestu sześciu lat, po czym najwyraźniej uznał, że fachowiec światowej klasy z tą ekipą osiągnie więcej.

Przez nadchodzące eliminacje powinniśmy przejść suchą stopą nawet pod wodzą magazyniera, chyba tylko kadra tak zmaltretowana jak za czasów błyskawicznej kadencji Stefana Majewskiego mogłaby się tu na kimś potknąć – przez najbliższy rok Santos może tylko stracić, bo każde kolejne zwycięstwo zostanie przyjęte w kraju jak wykonanie psiego obowiązku. Chyba że będzie to seria zwycięstw miażdżących, a kadra zagra tak pięknie, jak szpetnie obrażała uczucia religijne kibiców na mundialu (wszak futbol jest najpowszechniejszą religią na Ziemi).

Dostajemy mistrza fachu trenerskiego, sprawdzonego w bojach, wciąż czynnego zawodowo

Portugalczyk celująco zdawał egzaminy, zarówno szefując zahukanym łamagom, jak i nacji z futbolową smykalką w genach,

w dodatku dwukrotnie na imprezach mistrzowskich potrafił zgasić zapal Polaków – jest nam zatem coś winien. Mecz Polska – Grecja na Euro 2012 był jednym z najdziwniejszych, jakie widziałem: w pierwszej połowie nasi rywale nie wiedzieli, co się dzieje, i cudem przegrywali tylko jedną bramką, w drugiej doprowadzili trenera Smudę do panicznego stuporu, a z naszą kadrą robili, co chcieli.

Taka metamorfoza w przerwie nie dokonuje się samoistnie – selekcjoner ma kwadrans na to, by przeprowadzić zbiorową psychoterapię i dokonać korekt w składzie. Wtedy w Warszawie Santos musiał sięgnąć po elektrowstrząsy, w efekcie zbieranina greckich miernot nie tylko odebrała nam punkty, ale też wyszła z grupy.

Cztery lata później też wygrywaliśmy i wydawało się, że najlepiej grająca kadra narodowa od czasów Antoniego Piechniczka sięgnie po historyczny medal, ale na Portugalii to było za mało: Santos wystawił w pierwszym składzie ledwo pełnoletniego Renato Sanchesa i to on właśnie dziabnął nas dwukrotnie: raz w podstawowym czasie i po raz drugi w decydującej serii karnych. Fakt, że z Cristiano Ronaldo w szatni, tym rozhisteryzowanym narcyzem o statusie narodowego bożyszcza, Fernando Santos dał radę pociągnąć kadrę Portugalii po najwyższe trofea, wystawia mu najwyższą notę za cierpliwość i pracę w ekstremalnych warunkach. Niebiosa przychodziły z pomocą, bo kiedy w finale Euro kontuzjowany Ronaldo w końcu łaskawie zlaził z boiska, koledzy złapali oddech i wygrali mistrzostwo, a i na ostatnim mundialu bez swojej supergwiazdy grali najlepiej.

Dostajemy więc mistrza fachu trenerskiego, sprawdzonego w bojach, wciąż czynnego zawodowo, choć z rzędem baretek na mundurze – lepiej być nie mogło, rzeklbym nawet, że nad Douro i Tagiem postrzega się to zatrudnienie jako mezalians. I nie ma się co dziwić, atrakcyjną panną na wydaniu byliśmy ostatnio za króla Ćwieczka, Katar wyrobił nam opinię piłkarskich neandertalczyków, co to lagą władają może i skutecznie, ale przy odrobinie techniki się gubią. Brawo Kulesza, koniec heheszków, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zaczniemy eliminacje bez lęku. ●

wyborcza.pl

ZAPISZ SIĘ NA CODZIENNY NEWSLETTER

• [Wyborcza.pl/newslettery](https://wyborcza.pl/newsletter)

Sabalenka wygrała Australian Open

Sabalenka zagrała w finale Australian Open 17 asów serwisowych i każdy z nich należy liczyć co najmniej podwójnie. Wygrała w trzech setach z Jeleną Rybakiną, reprezentującą Kazachstan mistrzynią Wimbledonu 2021.

Marek Deryło

Po meczu z Magdą Linette Sabalenka całowała teatralnie i na wesoło swoje bicepsy, gdy powiedziano jej, że uderza tak mocno jak tenisiści. Tym razem powinna pokazywać palcem na głowę – wygrała finał Australian Open, bo w ciągu ostatnich 12 miesięcy i dzisiaj pokazała, że charakteru ma jeszcze więcej niż siły.

Asy, asy...

Przed finalem, w sześciu meczach Australian Open, Rybakina straciła tylko jednego seta. Sabalenka nie przegrała żadnego, tylko raz – w półfinale z Linette – musiała walczyć w tie-breaku. Rybakina (184 cm wzrostu) w drodze do finału zaserwowała aż 45 asów, rywalka (182 cm) – 29.

Kibice snują od czasu do czasu niepokojące wizje przyszłości tenisa jako pojedynków „serwujących botów”. Boją się, że nie będzie przełamań, że do tenisa będą wchodzić zawodnicy i zawodniczki znacznie wyżsi i mocniej zbudowani niż ich poprzednicy.

Sabalenka nie jest botem

Jeśli Sabalenka i Rybakina wzmagają takie obawy, to niesłusznie. Pisanie w tym przypadku o serwujących botach, o maszynach byłoby niesprawiedliwe. Najgroźniejszą tenisową bronią Rybakiny niekoniecznie musi być serwis, lecz może jest return. No i boty nie muszą rozwiązywać tak skomplikowanych problemów jak Sabalenka.

W zeszłym sezonie popełniła ponad 400 (!) podwójnych błędów serwisowych, na początku ubiegłego roku było tak źle, że na korcie zdarzyło się jej rozplakać, a także serwować „z dołu”, by uniknąć kolejnych upokorzeń.

Pracą z biomechanikiem oraz wojowniczym temperamentem wszystko stopniowo naprawiała. A przecież teoretycznie w każdym meczu od początku zeszłego roku, po nieudanym pierwszym serwisie, do głowy Sabalenki mogło próbować dobijać się pyta-

nie: „A jeśli zaraz znowu nastąpi seria upokorzeń i trzeba będzie serwować z dołu?”.

Komentatorzy przed finalem pisali, że chyba niewielu tenisistów i tenisistek wyszłoby z ogromnego kryzysu tak szybko. W sześciu meczach AO 24-latką popełniła nieco ponad 20 podwójnych błędów serwisowych, w pierwszych 11 spotkaniach poprzedniego sezonu zrobiła ich 150.

Ale po pierwszym secie z Rybakiną miała na koncie pięć takich pomyłek – w ważnych momentach, bardzo frustrujących. Odrobiła stratę przełamania, doprowadziła ze stanu 2:4 do remisu i następnie serwując, by objąć prowadzenie 5:4, zakończyła gema podwójnym błędem serwisowym. Na prowadzenie 5:4 wyszła 23-letnia przeciwniczka, moskwianka reprezentująca od kilku lat Kazachstan. Barwy narodowe zmieniła w wieku 19 lat, znacznie mniejszy sąsiad Rosji zaoferował jej lepsze warunki do tenisowego rozwoju (również finansowe).

Podczas wielkoszlemowych finałów – Sabalenka grała w takim po raz pierwszy – światła świecą dużo mocniej niż we wcześniejszych rundach. A Rybakina, jak wspomnieliśmy, to nie jest serwujący bot – returnować potrafi spektakularnie. Białorusinka bardzo szybko się przekonała, że jeśli jej drugi serwis będzie wyraźnie lżejszy (by uniknąć wiadomo jakiego błędu), to źle się to skończy. W pierwszej partii finału wygrała tylko 33 proc. punktów po swoim drugim podaniu. Przegrała 4:6.

Powrót Aryny Sabalenki

Jeśli Sabalence przyszło do głowy po I secie pytanie: „Czy ja się właśnie rozsypuję?”, to wyleciało z hukiem. Wyszła na prowadzenie 4:1, popełniając podwójny błąd serwisowy tylko raz. Prowadząc 5:2, miała już na koncie w statystykach meczu 30 winnerów i 10 asów. Rybakina – odpowiednio – 13 i 7.

W drugim secie Białorusinka popełniła tylko jeden podwójny błąd serwisowy. Setboła wywalczyła asem, po którym piłka leciała z prędkością 186 km/h. Wygrała 6:3.

Czy Novak Djoković wygrał jest

Novak Djoković wygrał Australian Open po raz dziesiąty w karierze i dogonił Hiszpana Rafaela Nadala – obaj mają po 22 zwycięstwa w turniejach Wielkiego Szlema. Era wielkiej trójki trwa, choć Roger Federer zakończył karierę.

Djoković znów udowodnił, że w Australian Open nie ma sobie równych, że zeszłoroczne zwycięstwo Rafaela Nadala było w jakimś stopniu efektem „afery szczepionkowej”. Serb nie chciał się zaszczepić przeciw COVID-19, ale przybył do Australii i przez kilkanaście dni próbował udowodnić, że ma prawo do startu. Australijscy organizatorzy turnieju i władze stanu Wiktoria wyraziły na to zgodę. Serbia

traktowała tę sprawę jak swoją rację stanu. Sąd australijski podjął jednak decyzję o deportacji serbskiego tenisisty z zakazem powrotu przez trzy lata. „Wolność wyboru jest ważniejsza niż jakikolwiek tytuł” – powiedział wtedy Djoković, zapewniając jednak, że nie jest antyszczepionkowcem.

W listopadzie rząd australijski cofnął trzyletni zakaz wjazdu Serba do Australii. Novak przybył w tym roku do Melbourne, by pokazać, że na tej nawierzchni, w tym turnieju jest wciąż królem. Zabrał ze sobą rodziców, przybyły za nim tysiące fanów. W finale z Grekiem Stefanosem Tsitsipasem wygrał 6:3, 7:6 (7-4), 7:6 (7-5), a tłumy serbskich kibiców oglądały mecz nie tylko na trybunach, ale i na ekranach przed

Rod Laver Arena. To wyglądało jak narodowa manifestacja.

Novak Djoković i ojciec skandalista

Djoković wygrał Australian Open po raz 10. w karierze, to oczywiście rekord wśród mężczyzn. Australijczyk Roy Emerson zwyciężał sześciokrotnie, ale to jeszcze przed erą open, w latach 1961-1967. Serb jest o jeden triumf od absolutnego rekordu Australijki Margaret Court, która wygrywała ten turniej aż 11 razy.

Djokovićowi w Melbourne nie przeszkodził nawet skandal wywołany przez jego ojca, który po ćwierćfinałowym pojedynku z Rosjaninem Andriejem Rublowem sfotografował się z grupą wyrzu-



• **Aryna Sabalenka świętuje wygranę Australian Open**
FOT. ASANKA BREN-DON RATNAYAKE / AP

Finał Australian Open 2023, decydujący set

Po czterech gemach trzeciego seta był remis, w piątym Sabalenka była blisko przełamania. Po jednym z jej forhendów zmierzono 147 km/h, krzyczała podczas uderzeń w tamtej wymianie tak, że pomiar decybeli byłby jeszcze efekowniejszy. Rybakina utrzymała jednak podanie, serwując znakomicie w najważniejszych momentach gema. Wygrywała 3:2, chwilę później był już remis, Białorusinka serwowała nie mniej imponująco.

Piorunujące forhendy Sabalenki znów dały jej okazję do przełamania. Zabrała serwis reprezentantce Kazachstanu, wyszła na prowadzenie 4:3 i szykowała się do serwowania.

Rybakina returnowała bardzo efektywnie, ale nie zdołała „odłamać”.

Wygrywając 5:4, Sabalenka zagrała asa przy wyniku 30:30. Rywalka obroniła pierwszą piłkę meczową, później drugą, następnie break-pointa obroniła Białorusinka. Trzeciego meczbola mistrzyni Wimbledonu także wybroniła, czwartego – już nie.

Sabalenka zwyciężyła 4:6, 6:3, 6:4, położyła się na korcie po ostatniej piłce i zaczęła płakać.

Zagrała w tym meczu 17 asów, o osiem więcej niż mistrzyni w tej dziedzinie Jelena Rybakina. W drugim i trzecim secie popełniła tylko po jednym podwójnym błędzie serwisowym.

Od poniedziałku będzie wiceliderką rankingu. Pierwsza na liście Iga Świątek ma nadal wielką przewagę, ale jasne już jest, że Białorusinka będzie w tym sezonie atakować bardzo mocno. ●

Australian Open

Jan Zieliński przegrał finał deblowy

Trybuny w Melbourne nie były wypełnione, ale australijscy kibice zapewnili bardzo gorący doping swoim rodakom – Jason Kubler i Rinky Hijikata grali świetnie, pokonali Jana Zielińskiego i Hugo Nysa 6:4, 7:6(7-4).

Jan Zieliński, skończywszy kilka lat temu zarządzanie (w sporcie) na Uniwersytecie Georgii, postanowił tak

zarządzić swoją karierą, że poświęcił się w całości grze podwójnej. A do USA wyjechał w 2016 r., bo otrzymał stypendium; na poważną zawodową karierę nie było go jeszcze finansowo stać, Ameryka oferowała i rozwój tenisowy, i wykształcenie.

W 2020 r. był 214. w rankingu, w kolejnym awansował do pierwszej setki. W ubiegłym

sezonie grał w ćwierćfinale US Open, awansował na 34. miejsce. Po finale Australian Open będzie 15.

Miał okazję powtórzyć australijskie osiągnięcia Wojciecha Fibaka (1978) i Łukasza Kubota (2014). W parze z Monakijczykiem Hugo Nysem wyeliminował m.in. mistrzów US Open 2022, w finale grali z australijskim duetem Rin-

ky Hijikata – Jason Kubler, który do rozgrywek wszedł dzięki dzikiej karcie. I który nigdy wcześniej w żadnym turnieju wspólnie nie grał.

– Jeśli mamy dobry dzień, możemy wygrać z każdym – powiedział niedawno w Polskim Radiu 26-letni Zieliński.

Tym razem nie mieli – przegrali w godzinę i 25 minut 4:6, 6:7(4-7). ●

Marek Deryło

Szczesny dostawał pensję pod stołem?

Kiedy turyńscy rezygnowali z zarobków podczas pandemii, komplementowano ich za akt lojalności wobec klubu. Czy teraz okażą się współwinni oszustwa?

W ubiegłym tygodniu Juventus został ukarany odjęciem 15 punktów zdobytych we włoskiej Serie A, przez co ze ścisłej czołówki tabeli zleciał do jej środka. Praktycznie stracił szanse na awans do Ligi Mistrzów, będzie mu też niezwykle trudno wśliznąć się do jakiegokolwiek z europejskich pucharów. To katalizm i sportowy, i finansowy.

Turyńscy ponieśli konsekwencje machinacji wykrytych przez kilka nakładających się na siebie śledztw – prowadzonych przez służby zarówno państwowe, jak i futbolowe. Sprawa jest skomplikowana, a na jej pełniejsze zrozumienie musimy poczekać: na kolejne posunięcia zaangażowanych w dochodzenia instytucji, na publikację uzasadnienia wyroku (przyszły tydzień). Najbardziej utytułowanemu klubowi ligi włoskiej zarzucano, że fałszował bilanse, ogłaszał nieprawdziwe sprawozdania o swoich finansach, zawyżał zyski ze sprzedaży piłkarzy etc.

Juventus znów ofiarą

Podejrzanych było w Serie A więcej, ale Juventus miał dopuścić się największej liczby udowodnionych kręctw (przeprowadził aż 42 z 62 wywołujących wątpliwości transferów), a jako spółka notowana na mediolańskiej giełdzie podlega szczególnie skrupulatnemu monitoringowi.

Turyńscy mówią o „rażącej niesprawiedliwości”, czują się pokrzywdzeni i traktowani surowiej niż konkurencji – podobnie jak w 2006 roku, gdy po skandalu Calciopoli zostali relegowani do Serie B. Jednak już w listopadzie do dysmisji podał się cały zarząd Juve, na czele z prezesem Andreą Agnelliem (przedstawicielem dynastii posiadającej klub od przedwojnia) i wiceprezesem Pavlem Nedvědem (byłym laureatem Złotej Piłki).

Można powiedzieć, że wykonali ruch wyprzedzający, bo FIGC wygnała ich ze stadionów. Nie dość, że odjęła Juventusowi 15 punktów (prokurator żądał dziewięciu), to zakazała działalności w futbolu 11 klubowym działaczom – m.in. właśnie Agnellemu (24 miesiące banicji), Nedvědowi (8 miesięcy) oraz byłemu dyrektorowi sportowemu Fabio Paraticiemu (30 miesięcy).

Niewykluczone, że dyskwalifikacje grożą także piłkarzom, ponieważ rozwojowy pozostaje wątek „manipulowania pensjami”, którym zajmuje się turyńska prokuratura, a być może także się również FIGC.

Wiosną 2020 roku aż 23 zawodników podpisało porozumienie, w którym zgadzało się na redukcję zarobków. Trwała pandemia, mecze toczyły się przy pustych trybunach, kluby traciły olbrzymią część planowanych przychodów – we Włoszech szczególnie mocno uderzało to w Juventus, jedną z załedwie kilku drużyn posiadających własny stadion. Rywale grają na obiektach miejskich i nie mogą roz-

winać na nich pełnej komercyjnej działalności. Komentatorzy zachwycali się wówczas wspaniałomyślnością piłkarzy – był wśród nich bramkarz Wojciech Szczesny, ale nie napastnik Arkadiusz Milik, pozyskany dopiero przed bieżącym sezonem – którzy postanowili ulżyć znajdującemu się w tarapatkach pracodawcy. Juventus miał zrzucić z budżetu aż 90 mln euro wydatków.

I w ten sposób fałszować przebieg ligowej rywalizacji. Jak przed kilkunastu laty manipulowali sędziami meczów, tak teraz wydawali pieniądze, których nie mieli prawa wydawać. Blisko 90 mln zainwestowali np. poprzedniej zimy w transfer rewelacyjnego napastnika Duszana Vlahovicia.

Buntownicy rezygnują z telewizji

Dzisiaj włoskie media donoszą, że zawodnicy wcale nie zrezygnowali, w przeciwieństwie do deklaracji z czterech miesięcznych pensji nie otrzymali tylko jednego przelewu, a pozostałe trzy wypłaty przekazano im pod stołem. Dzięki temu obie strony zaoszczędziły na podatkach, a Juve poprawił wynik finansowy.

Dochodzenie trwa. Teoretycznie może zakończyć się nawet degradacją klubu do Serie B – gdyby okazało się, że bez tamtych machinacji nie spełniałby wymagań pozwalających zgłosić się do rozgrywek. To sankcja mało prawdopodobna. Ale już zdyskwalifikowanie piłkarzy wydaje się realne, a nawet kilkutygodniowe zawieszenie ostatecznie przygniotłoby drużynę, z dnia na dzień zrzuconą w otchłani.

Śledztwa cały czas trwają, wciąż czekamy na reakcję UEFA, od kary FIGC nowi szefowie Juve odwołują się do Włoskiego Komitetu Olimpijskiego, który jednak sprawdzi wyłącznie technalia – czy w trakcie postępowań nie złamano procedur.

Jeśli nie nastąpi zaskakujący zwrot akcji, potężny cios spadnie na cały włoski futbol. Bezapelacyjne najbogatsza na świecie liga angielska ucieka mu na coraz większy dystans, a turyńscy, których sfera może zmusić do gwałtownej redukcji wydatków, jako jedyni byli w stanie konkurować niekiedy z europejską czołówką. I jako jedyni przedstawiciele Serie A zdołali po 2010 roku zająć do finału Champions League.

Sytuacja pogarszała się w minionych latach, na ostatnim kontrakcie telewizyjnym włoskie rozgrywki zyskały mniej niż na przedostatnim. I choć teraz zanosilo się na odwrócenie tendencji, to do ofensywy właśnie przystąpili wściekli kibice Juve. Od kilku dni masowo rezygnują z abonamentów transmitujących mecze telewizji Sky oraz internetowej platformy DAZN, nawołują do buntu znajomych, a stanowią potężną siłę przekładającą się na biznesową presję – ich drużynie kibicuje się we wszystkich częściach w kraju, poza Turynem bywa wręcz popularniejsza niż we własnym mieście. Specjaliści obliczają, że posiadacze praw mogą stracić na bojkocie nawet grubo powyżej 100 mln euro i zażądać od ligi włoskiej re-negocjacji umowy. ●

Rafał Stec

tenisistą wszech czasów?

conych z kortów nacjonalistów rosyjskich, niosących flagi z wizerunkiem Putina i znaki „Z”.

Najpierw Novak odmówił w tej sprawie komentarza, potem próbował tłumaczyć, że zachowanie Srdjana Djokovicia zostało źle zinterpretowane przez światowe media. Przekonywał, że on ani jego ojciec nie popierają żadnej wojny. Sytuacja była co najmniej dwuznaczna, biorąc pod uwagę sympatię wielu Serbów do Rosjan.

Ojciec Novaka przestał przychodzić do Melbourne Park. Djoković mówił, że cała sprawa głęboko go dotknęła, choć na korcie nie było tego widać. W półfinale rozbił w trzech setach Amerykanina Tommy Paula, w całym turnieju Serb stracił zaledwie jedną partię.

Novak Djoković lubi, gdy nikt go nie lubi

Djoković uwielbia grać z pozycji persona non grata, gdy ma rywala nie tylko na korcie, ale wszędzie wokół. Kibice z Serbii kochają go fanatycznie. Opinia innych nie bardzo go obchodzi, przynajmniej podczas gry. W finale grał z 24-letnim Tsitsipasem, dla którego był to drugi występ na tym poziomie w Wielkim Szlemie (w 2021 roku był w finale Ronald Garrosa i też przegrał z Djokovićem). Teraz Serb był bezdyskusyjnie lepszy, chociaż drugiego i trzeciego seta wygrał po tie-breaku. W trzecim został przełamany, ale zaraz odrobił stratę.

To 22. triumf wielkoszlemowy 35-letniego Djokovicia, czym dogonił 36-letniego, walczącego z kontu-

zjami Rafaela Nadala. Już od dłuższego czasu kibice oczekują zmiany warty, końca ery wielkiej trójki. Roger Federer (20 zwycięstw w Wielkim Szlemie) zakończył karierę, Hiszpan i Serb wciąż blokują jednak młodszemu drogę na szczyt. To już druga dekada ich dominacji. Od 2004 roku rozegrano 76 turniejów wielkoszlemowych. Federer, Nadal i Djoković oddali rywalom zaledwie 13 tytułów.

Djoković płakał ze wzruszenia po zwycięstwie nad Tsitsipasem. Przebył długą drogę, był najlepszy w Melbourne w latach 2008, 2011, 2012, 2013, 2015, 2016, 2019, 2020 i 2021, teraz dołożył triumf w roku 2023. Jest zjawiskiem nie tylko na tym turnieju, ale też w całej historii tenisa. ●

Dariusz Wołowski

A jednak się kręci

Polski piłkarz jako stwór z innej planety

Stec



A jeśli zbliżamy się do granicy, poza którą kibic przestaje wodzić za piłkarzem maślanymi oczami, wyrasta z roli fana klęczącego przed idolem?

Zadałem sobie powyższe pytanie, usłyszawszy o rozterkach szefów Biedronki. To było jedno z zaskakujących następstw mundialowej zadymy wokół premii obiecanej przez premiera Mateusza Morawieckiego – kierownictwo Jerónimo Martins, właściciela sieci sklepów oplatającej całą Polskę, miało się zastanawiać, czy warto przedłużyć umowę sponsorską z PZPN i reprezentacją kraju, której zawodnicy coraz bardziej odklejają się od rzeczywistości. To multimilionerzy przebywający w innym wymiarze, z przeciętnym bywalcem stadionów nie łączący ich już nic.

Gigantyczne pieniądze krążą w futbolowym show-biznesie od zawsze, jednak beneficjenci tłustych pensji mówią o nich zazwyczaj naokoło – żadnemu nie przecisnę się przez gardło, że klub X dał mu więcej niż Y, nie, konkret zastępuje rozmyta fraza o „zaproporzonych lepszych warunkach”, ewentualnie nie zastępuje go nic, przepytany delikwent gędzi wyłącznie o spełnianiu sportowych marzeń. Media epatują wprawdzie astronomicznymi kwotami, ale to liczby abstrakcyjne, nie do ogarnięcia przez rozum zwykłego człowieka, któremu brakuje punktu odniesienia – nie ma ich do czego porównać, przełożyć na codzienne życie. Dziesiątki milionów, setki milionów, miliardy? Wszystko brzmi podobnie, można tylko zobojętnieć.

Ostatnio jednak wokół polskich piłkarzy konkretów przybyło, o finansach mówią oni i mówi się za nich, i to w niewygodnych dla zainteresowanych kontekstach. Gdy po mundialu wybrzmiała plotka o rodzinach reprezentantów Polski, które podobno były w katarskim słońcu za fundusze PZPN, Kamil Glik zgodził się ujawnić w internetowym show Kanału Sportowego, że sam zapłacił za pobyt bliskich w Dausze. Podał nawet kwotę – 250 tys. zł. Można rzec, że sforsował mentalną barierę nakazującą piłkarzom w pewnych sprawach milczeć, bo bez skrępowania wyznał, iż na kilka dni spędzone przez dzieci, żonę, mamę i teściową w ciepłych krajach wydał tyle, na ile przeciętny Polak musi harować trzy lata z okładem. Tę nieostrożność popełnił piłkarz z zasłużoną reputacją normalsa, sportowca odpornego na gwiazdorskie skłonności do popisywania się luksusem.

Wcześniej na ryzykowne deklaracje zdobył się inny lider reprezentacji Grzegorz Krychowiak, który tłumaczył się z decyzji drużyny, by przyjąć obiecywaną przez premiera nagrodę za wyjście z mundialowej grupy. Wyrwało mu się – inaczej nie sposób te-



FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

**Czy kibice się zbuntują?
Przestaną spoglądać
na boisko bezkrytycznie,
z przeświadczeniem,
że idole zasługują na aż tyle?**

go określić – że piłkarze zamierzali część pieniędzy oddać na cele charytatywne, by „uratować się od niezręcznej sytuacji”, a następnie wyraził żal, że „premię nie ma, bo kilka milionów poszłoby na szczytny cel, a tak nie pójdzie nie”. Wyrzucił z siebie całą lawinę nieszczęsnych sformułowań, które w odczuciu wielu odbiorców mogły zrodzić się tylko w głowie paniska zajądającego kawior chochłami.

Aż wreszcie Juventusem i w ogóle włoskim futbolem wstrząsnęła wielowątkowa afera, która na wszystkich poziomach dotyczy finansowych mactw, a tych mieli się dopuszczać nie tylko turyńscy działacze, lecz również piłkarze. Podczas pandemicznego kryzysu pozwolili na dobroczynność rezygnujących dla dobra klubu z czterech pensji, tymczasem zrezygnowali z jednej – pozostałe otrzymali pod stołem, dzięki czemu obie strony, pracodawca i pracownicy, nie zapłaciły wszystkich należnych podatków. I jeśli wierzyć doniesieniom włoskiej oraz niemieckiej prasy, byli całkownie świadomi fałszerstwa. Ich kapitan Giorgio Chiellini wyjaśniał plan na grupowym WhatsAppie, ostrzegając, by trzymali języki za zębami – tak przynajmniej na przesłuchaniach mieli zeznać Mattia De Sciglio oraz Matthijs De Ligt, dzisiaj reprezentujący już Bayern Monachium.

Innymi słowy, turyńscy zawodnicy – wśród nich Wojciech Szczęsny, kolejny gwiazdor reprezentacji – nie dość, że przystali na przekręt, to jeszcze sprzedali nieuczciwość opinii publicznej jako szlachetny gest.

Nie wiadomo, jak potoczy się włoski skandal, na razie wygląda na bardzo rozwojowy i zdolny uderzyć w znacznie więcej osób niż zdyskwalifikowani już przez krajową federację piłkarską szefowie Juventusu. W każdym razie można go poniekąd potraktować jako kolejny epizod serialu, który przedstawia czołowych polskich piłkarzy jako ludzi mieszkających na innej planecie, w galaktyce umoczonej w niewyobrażalny szmal – czasami nim epatujących, często żądających więcej i więcej, przekonanych, że pieniądze po prostu im się należały. I kibice to dostrzegają, okazują złość w mediach społecznościowych.

Czy się zbuntują? Przestaną spoglądać na boisko bezkrytycznie, z przeświadczeniem, że idole zasługują na aż tyle? Dystans dzielący kibica od oklaskiwanych piłkarzy stale rośnie i sprzyja alienacji, a sprzeciw niepewnych jutra mas – teraz jeszcze duszonych przez szalejącą wszędzie inflację – wobec chciwych, coraz bardziej horrendalnie bogatych elit to jedna z głównych społecznych narracji naszych czasów. Ludzie coraz częściej pytają, czy członek zarządu powinien zarabiać sto razy więcej od szeregowego pracownika, czy jednak wystarczy mu dziesięć razy więcej. Władcy świata to zresztą wiedzą i niekiedy reagują kuriozalnie – jak brytyjski premier Rishi Sunak, który obawiał

się przyznać, że korzysta z prywatnej opieki medycznej, czyli do rzeczy dla tak zamożnego człowieka absolutnie oczywistej.

Fani sportu też coraz częściej stawiają idolom wymagania – wielu Niemców bojkotowało mundialowe transmisje ze względu na łamiących prawa człowieka katarskich gospodarzy, w kilku krajach poważnie debatowano o bojkocie mistrzostw, futbolowym celebrytom wytyka się latanie na zakupy trującymi planetą prywatnymi samolotami, Polaków oburzyło wyciąganie rąk po publiczne pieniądze przez Czesława Michniewicza i jego piłkarzy. Ewidentnie coś się dzieje. Tymczasem ilości rozsypywanych po stadionach pieniędzy stają się coraz bardziej porażające, bo nie decyduje już wyłącznie rachunek ekonomiczny – gwiazdor zarabia tyle, ile zarobi tworzone przez niego widowisko – lecz geopolityka, autokraci płacą za czyszczenie ich zakrwawionych wizerunków. Cristiano Ronaldo za ganianie za piłkę w koszulce egzotycznego Al-Nassr przytula 200 mln euro rocznie, a Leo Messiemu za założenie stroju sąsiedniego Al-Hilal saudyjska monarchia proponuje 300 mln.

Argentyńczyk w rok otrzymywałby prawie tyle, ile Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy uzbierała przez trzy dekady istnienia. ●

Rafał Stec

wyborcza

REDAKCJA ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00 (czynny w dni powszednie w godz. 10-17);
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński
SEKRETARZ REDAKCJI: Anna Kwiatkowska
PROJEKT GRAFICZNY: Jacek Utko
PORTRETY AUTORÓW: Agata Marszałek
Prenumerata cyfrowa: prenumerata.wyborcza.pl; pomoc@wyborcza.pl, 22 555 54 55, 519 255 455
Inne formy prenumeraty: wyborcza.pl/prenumerataGW
Kolportaż: Problemy z dostępnością „Wyborczej” lub

z własną mutacją lokalną, informacje o możliwości kupienia dodatków: kolportaz@wyborcza.pl
Gazeta Wyborcza w serwisach społecznościowych: facebook.com/wyborcza, twitter.com/gazeta_wyborcza, instagram.com/gazeta_wyborcza

WYDAWCA

Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
Dyrektor marketingu: Michał Bauer

REKLAMA

Dyrektor sprzedaży: Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DRUK: Agora SA
ISSN 0860-908X
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

